Ceny energii – jest drogo. Będzie jeszcze drożej...

Strona 9

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

Morskie Farmy Wiatrowe w Polsce

Strona 4

10 grudnia 2021 - Warszawa – Polska **www.nowyswiat24.com.pl** Numer 11/2021

Rynek mieszkaniowy potrzebuje ochrony przed funduszami

Fundusz NREP za jednym razem kupił za 100 mln euro ponad tysiąc mieszkań w Polsce. Budowy większości z nich nawet nie rozpoczęto. Wcześniej szwedzki fundusz Heimstaden Bostad kupił 2,5 tys. mieszkań w Polsce od spółki Budimex Nieruchomości. Za cały pakiet mieszkań na różnym etapie realizacji Szwedzi zapłacili 1,4 mld zł. W następnych miesiącach pod wynajem szykowanych jest ponad 24 tys. nowych mieszkań. Duża część z tych inwestycji to projekty mieszkaniowe realizowane specjalnie dla zagranicznych funduszy.

Firma Atrium w Warszawie, która do tej pory specjalizowała się w galeriach handlowych postanowiła wejść na rynek mieszkań na wynajem. Kupiła ok. 100 mieszkań w Krakowie i 541 mieszkań w warszawskich Włochach. Taką informację podała "Gazeta Wyborcza". W Warszawie do spółki Atrium należy m.in. Promenada na Gocławiu, Reduta w Al. Jerozolimskich, King Cross przy Jubilerskiej czy Domy Centrum przy Marszałkowskiej. Firma już wiele miesięcy temu zasygnalizowała, że zamierza wejść na rynek mieszkań na wynajem. Jednym ze sposobów na to ma być budowa domów na terenach przylegających do jej galerii handlowych. Jeszcze w tym roku ma rozpocząć budowę pierwszego budynku na 200 mieszkań obok Promenady. Drugim sposobem jest kupowanie mieszkań od deweloperów. Celem jest do końca 2025 r. 5 tys. mieszkań na wynajem. Gdyby ta sama firma postanowiła przejąć jakąkolwiek większą galerię handlową w okolicach Warszawy, musiałaby spytać o zgodę UOKiK. Bo działalność gospodarcza tej firmy podlega kontroli tego urzędu. Ale jeśli działalność gospodarcza dotyczy rynku mieszkań, to hulaj dusza piekła nie ma.

Tymczasem budowa mieszkań jest jednym z najważniejszych sektorów gospodarki każdego kraju, kluczowych dla stabilności społecznej, gospodarczej i finansowej. Polski rynek mieszkaniowy jest obecnie w fazie dynamicznego rozwoju i rosnącej sprzedaży. Polacy uciekając przed niskimi stopami, wysoką inflacją lokują swoje nadwyżki głównie na rynku mieszkaniowym. Jeszcze kilka lat temu pojęcie inwestora instytucjonalnego na tym rynku byłby tematem bez znaczenia. Jednak szybko rosnące ceny zakupu każdego mieszkania, niezaspokojony głód nowych mieszkań i mieszkań na wynajem, głównie w dużych miastach, sprzyja szybkiemu rozwojowi obecności na tym rynku funduszy.
Z bardzo negatywnymi konsekwencjami tego stanu rzeczy. Przyśpieszenie wzrostu cen, obniżająca się jakość usług dla wynajmujących były przyczyną wniosku o nacjonalizację mieszkań w Berlinie.

Referendum przeprowadzone przy okazji ostatnich niemieckich wyborów zobowiązuje senat Berlina do stworzenia takich ustaw, aby wywłaszczyć fundusze inwestycyjne z posiadanych przez nie mieszkań. Gra toczy się o około 240-250 tysięcy lokali. To około 15% wszystkich nieruchomości znajdujących się w stolicy Niemiec. W Berlinie przez lata zakupy portfelowe mieszkań dominowały w ogólnej liczbie sprzedanych nieruchomości. Inwestorzy byli bardziej aktywni niż zwykli Berlińczycy w zakupie mieszkań na własne potrzeby. Jeśli dodamy do tego fakt, że przez ostatnie lata ceny mieszkań i czynsze najmu rosły w stolicy Niemiec znacznie szybciej niż wynagrodzenia ludności, to mamy obraz sytuacji, której na pewno nie chcielibyśmy powtarzać nad Wisłą. Tym samym tzw. gatunek obcy (fundusze inwestycyjne) stał się nie tyko dostrzegalnym, ale i ważnym zjawiskiem.

Czy fundusze staną się gatunkiem inwazyjnym w Polsce? Patrząc na rynki takich krajów jak Niemcy, Holandia, czy kraje Skandynawskie zapewne tak.

Ciąg dalszy na stronie 2

Dr Janusz Grobicki
Redaktor Naczelny

W oczekiwaniu na Święta Bożego Narodzenia życzę Państwu, by stały się one uroczystością radosną i pełną blasku, zapowiedzią szczególnie głębokiego doświadczenia łaski i miłosierdzia Bożego.

Ostatnie tygodnie kończącego się roku nie były spokojne. Narastające napięcie międzynarodowe, wzniecane przez agresywną politykę Rosji i Białorusi w stosunku do Ukrainy i Polski, zmusza do refleksji nad pokojową przyszłością nie tylko Europy. Będziemy żegnać stary rok, pamiętając o ofiarach koronawirusa, w warunkach trwającej już od 22 miesięcy pandemii. Powoli przyzwyczailiśmy się do wielu ograniczeń, które zmieniły naszą codzienność. Niestety, musieliśmy także pogodzić się z nowymi troskami, stratami i zmianami życiowych planów. Jednak z pewnością nie rezygnujemy z marzeń. Dla wielu czytelników, posiadanie mieszkania jest wciąż jedną z najważniejszych i niezaspokojonych potrzeb. Wiedzę o rozwoju mieszkalnictwa w Polsce rozszerza tekst „Rynek mieszkaniowy potrzebuje ochrony przed funduszami". W obliczu zimy zastanawiamy się bardzo poważnie nad sytuacją energetyczną w naszym kraju. Wiele obaw, dotyczących transformacji energetycznej rozwiewa bardzo obszerny artykuł „Morskie Farmy Wiatrowe w Polsce – » Szanse i zagrożenia«". Przedstawiono w nim syntezę wyzwań, przed którymi stoi polska, morska energetyka wiatrowa. Warunkiem powodzenia tego wielkiego przedsięwzięcia jest m.in. uzyskanie efektu skali oraz wdrożenie innowacyjnych technologii. Oczywiście samo pozyskiwanie energii elektrycznej z odnawialnych źródeł to tylko część bardzo złożonego problemu. Temu tematowi poświęciliśmy relację z debaty, która odbyła się na niedawnym „Forum 590", zatytułowaną: „Magazyny energii to wyzwanie i szansa dla zielonej transformacji".

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

10 grudnia 2021 - Warszawa – Polska **www.nowyswiat24.com.pl** Numer 11/2021

Magazyny energii to wyzwanie i szansa dla zielonej transformacji

Na niedawnym Kongresie 590, którego hasło przewodnie brzmiało „Nowe państwo, nowe możliwości", wiele uwagi poświęcono zielonej transformacji. Nie przypadkiem w „Panelu liderów" Wojciech Dąbrowski, prezes Zarządu PGE wskazywał, że warunkiem pomyślnego przeprowadzenia energetycznej transformacji jest uzyskanie efektu skali oraz wdrożenie innowacyjnych technologii.

Właśnie innowacje pozostają w zakresie bezpośrednich kompetencji Pawła Śliwy – wiceprezesa Zarządu PGE d.s. Innowacji, który poinformował, że w ramach realizacji strategicznych celów grupy PGE, zamierza ona w najbliższej dekadzie – do roku 2030 – stworzyć magazyny energii, pozwalające zakumulować do 800 MW. To gwarancja stabilizacji systemu, bezpieczeństwa energetycznego i efektywności emisyjnej w drodze do celu – zeroemisyjności wyznaczonego na rok 2050.

Jeszcze w grudniu 2020 roku firma oddała do eksploatacji pierwszy w Polsce magazyn energii zlokalizowany w podkarpackiej Rzepedzi na terenie Bieszczad o pojemności 2 MW, a przeznaczony do zasilania awaryjnego i okresowych prac remontowo-konserwacyjnych. W planach przewidziano powstanie bliźniaczego magazynu energii w Cisnej. Kolejną inwestycję zakończono w lipcu b.r., oddając do użytku magazyn energii na górze Żar, w województwie śląskim, o mocy 500 kW i pojemności użytkowej 750 kWh. PGE jest w fazie przygotowania projektu dużego magazynu energii w Żarnowcu o mocy 200 MW.

W rozmowie z Agatą Konarską, Paweł Śliwa określił magazyny energii jako przyszłość gospodarki zeroemisyjnej i podstawę zielonej transformacji. Będą zatem istotnym wsparciem uzyskania w roku 2050 neutralności klimatycznej. Nowy system energetyczny z dużym udziałem energii pozyskiwanej ze źródeł odnawialnych, ze swej istoty niestabilnych – magazyny energii zapewnią niezakłóconą i stabilną pracę sieci elektroenergetycznej. Innymi słowy, to właśnie magazyny energii są warunkiem koniecznym pomyślnej transformacji w energetyce. W tym przypadku mamy zresztą do czynienia ze swoistym sprzężeniem zwrotnym, gdyż bez OZE magazyny energii tracą rację bytu.

Obecny kryzys energetyczny ma zasięg globalny, czego wyrazem są stale rosnące ceny nośników energii na światowym rynku. Uwidocznił on z całą mocą wagę i znaczenie magazynów energii, jako elementu gwarantującego stabilność systemów elektroenergetycznych. To one dostarczają energię, bez której gospodarstwa domowe, przemysł a w konsekwencji świat, nie mogłyby egzystować. Również w obliczu zmian klimatycznych i gwałtownych zjawisk atmosferycznych, stających się zmorą codzienności, magazynowanie energii ma kluczowe znaczenie.

Grupa PGE uczyniła magazynowanie energii jednym ze swoich strategicznych priorytetów. Magazyny energii to także problem, który dotyczy elektrownie szczytowo-pompowe. Cztery z pięciu pracujących na terenie Polski pozostają w gestii PGE, co czyni ją kluczowym graczem w tym obszarze.

Ciąg dalszy na stronie 3

Rynek mieszkaniowy potrzebuje ochrony przed funduszami

- ciąg dalszy ze strony 1

Pytanie, co dzisiaj możemy zrobić, aby oswoić to zwierzę w sposób przewidywalny i zgodny z naszymi interesami? Ceny mieszkań i domów synchronizują się, szczególnie w głównych miastach (m.in. Londyn, Berlin, Paryż, Amsterdam, Barcelona) na całym świecie, co sugeruje rosnące znaczenie międzynarodowych przepływów kapitału w kształtowaniu się cen nieruchomości. Tę tezę potwierdziły badania Międzynarodowego Funduszu Walutowego, który podkreśla, że pomimo, że czynniki lokalne nadal odpowiadają za większość zmian cen mieszkań, to wzrosła rola czynników globalnych. Rzecz w tym, że poszukiwania przez globalnych inwestorów dochodowych i bezpiecznych aktywów stają się coraz ważniejszym czynnikiem wyjaśniającym zmiany cen, a dynamika cen nieruchomości mieszkaniowych jest coraz bardziej zbliżona do zmian cen innych aktywów finansowych dostępnych w obrocie międzynarodowym.

– Intensywnie pracujemy nad tym, jak zapobiec pakietowemu wykupowi mieszkań i problemom, z jakimi obecnie boryka się Berlin – poinformował sekretarz stanu w Ministerstwie Rozwoju i Technologii Piotr Uściński podczas swojego wystąpienia w Sejmie. Warto pamiętać, że z najnowszych badań wynika, że Polacy zmienili swoje nawyki. – Zwłaszcza osoby do 35. roku życia chcą być bardziej mobilne i niekoniecznie chcą kupować mieszkania, wolą je wynajmować. Pandemia przyspieszyła ten proces. W efekcie w ostatnim czasie mamy rekordową liczbę zapytań o rynek najmu – mówi Mariusz Kurzac, dyrektor generalny Cenatorium. Jego zdaniem analitycy zagranicznych funduszy znają te dane, co wpłynęło na ich decyzje.

– Coraz więcej młodych ludzi mówi: po co mam kupować mieszkanie i brać kredyt na 30 lat, skoro mogę je wynajmować? – przekonuje Tomasz Błeszyński. W pierwszej kolejności wykupowane są mieszkania dwupokojowe do 50 mkw., które są najbardziej poszukiwane. Sprzedający takie lokale o tym wiedzą, dlatego pobijają ceny.

Na razie na celowniku funduszy są głównie duże miasta, takie jak Warszawa, Gdańsk i Wrocław. Mieszkania pod wynajem powstają w najlepszych lokalizacjach, np. przy metrze lub miejskiej kolei. Dodatkowo są w pełni wyposażone i nie różnią się niczym od typowych deweloperskich inwestycji a czasem posiadają nawet dodatkowe udogodnienia.

Jak ograniczyć negatywne skutki pojawienia się na rynku mieszkaniowym funduszy inwestycyjnych? Think Thank HRE ma przemyślane i oparte o doświadczenia innych rynków, propozycje:

– Wprowadzenie formuły REIT do polskiego porządku prawnego. Aby uzyskać zwolnienie podatkowe, spółka musiałaby oferować najemcom możliwość dowolnej zamiany umów najmu na umów z dojściem do własności. Taka koncepcja REIT oprócz korzyści dla inwestorów byłaby też atrakcyjna dla najemców. Najważniejszą korzyścią byłoby jednak to, że najemcy stopniowo dochodziliby do własności mieszkań. W efekcie REIT, aby utrzymać skalę swojej działalności, musiałby angażować posiadany kapitał w budowę kolejnych osiedli. W ten sposób uniknęlibyśmy mechanizmu, w którym napływ kapitału do mieszkaniówki nie skutkuje wzrostem podaży nowych lokali, a jedynie wzrostem ich cen. Dla powodzenia tego mechanizmu przydatny byłby tu preferencyjny system finansowania. Warto rozważyć też szersze włączenie REITów oferujących najem z dojściem do własności do systemu dofinansowania czynszów najmu (mieszkanie na start).

– Podatek lub opłata od niezabudowanych działek budowlanych przewidzianych w planie zagospodarowania przestrzennego na cele mieszkaniowe (wielorodzinne). Taka danina mogłaby dotyczyć działek niezabudowanych np. w ciągu 6 lat od daty nabycia, a podstawą opodatkowania mogłaby być cena zakupu. Dochody mogłyby stanowić dochody gminy, na której terenie ta działka jest położona i służyć prowadzeniu lokalnej polityki mieszkaniowej,

– Podatek lub opłata od niezamieszkałych mieszkań mógłby być nakładany na mieszkania, w których nikt nie jest zameldowany lub mieszkanie nie jest objęte umową najmu np. dłużej niż 4 miesiące. Podobnie jak danina od niezabudowanych działek budowlanych dochody mogłyby stanowić dochody gminy, na której terenie to mieszkanie jest położone i służyć prowadzeniu lokalnej polityki mieszkaniowej,

Czy fundusze staną się gatunkiem inwazyjnym w Polsce? Patrząc na rynki takich krajów jak Niemcy, Holandia, czy kraje Skandynawskie zapewne tak.

– Duże transakcje na rynku mieszkaniowym, a więc znaczące zakupy pakietowe, przejęcia spółek deweloperskich z dużymi portfelami budowanych mieszkań i banków ziemi, powinien kontrolować i zatwierdzać Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów pod kątem negatywnego oddziaływania na lokalny rynek mieszkaniowy. Przewidujemy, że rozwój rynku mieszkań na wynajem finansowanego przez inwestorów instytucjonalnych może sięgnąć 70-80 tys. w roku 2025. Te inwestycje będą skoncentrowane na rynku warszawskim i w kilku dużych miastach. Stąd ich oddziaływanie będzie znaczące nie tylko w skali lokalnych mikro-rynków, ale też w skali całych miast wojewódzkich, a nawet ich okolic.

Każde z proponowanych rozwiązań jest rynkowe.

Michał Cebula,
Prezes HRE Think Tank

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

10 grudnia 2021 - Warszawa – Polska **www.nowyswiat24.com.pl** Numer 11/2021

Magazyny energii to wyzwanie i szansa dla zielonej transformacji

- ciąg dalszy ze strony 2

Łączna moc owych czterech elektrowni to 1500 MW i prawie 7000 MW/h zmagazynowanych w górnych zbiornikach. Można powiedzieć, że to zarazem dużo i mało. Po awarii w Rogowcu, która wydarzyła się kilka miesięcy temu, to właśnie uruchomienie elektrowni szczytowo-pompowych pozwoliło odtworzyć i ustabilizować pracę systemu elektroenergetycznego. Jedyna słabość tego rozwiązania to czas rozruchu liczony w minutach w sytuacji, gdy utrzymanie ciągłości dostaw i stabilizowanie systemu wymaga milisekund. To przesłanka podkreślająca konieczność budowy magazynów energii na bazie baterii litowo-jonowych.

Taką perspektywę na najbliższą dekadę wyznaczają dostępne technologie i rachunek ekonomiczny. Mankamentem tego rozwiązania pozostają ograniczone zasoby metali ziem rzadkich oraz fakt, że wiele z istniejących złóż leży na terenach trudno dostępnych bądź objętych działaniami wojennymi w rejonach lokalnych konfliktów oraz niestabilnych politycznie. Dalsza perspektywa to wodór, sprężone powietrze.

Do 2040 roku Polska powinna dysponować magazynami energii o łącznym nominale 2 GW. Powiązanie magazynów energii z farmami fotowoltaicznymi to przedsięwzięcie o charakterze badawczo-rozwojowym, dzięki czemu uzyskało ono wsparcie ze strony NCBiR. Pilotaż pozwoli na wybudowanie magazynu na bazie baterii litowo-jonowych o pojemności 200 MW i 1500 MW/h przy elektrowni szczytowo-pompowej w Żarnowcu. Nowe technologie są z natury rzeczy kosztowne, a w naszych warunkach nie mają precedensu. Dodatkowe przeszkody, to walory krajobrazowo-przyrodnicze ograniczające, jak w przypadku Rzepedzi, bądź Cisnej możliwości rozbudowy sieci. To jedna z przyczyn, dla których właśnie tam alokowano magazyny energii.

Projekty badawczo-rozwojowe wymagające mniejszych relatywnie nakładów pozwolą zoptymalizować planowe w przyszłości inwestycje. Z myślą o tym, PGE ubiega się o finansowanie inwestycji w Żarnowcu z Europejskiego Funduszu Innowacyjnego, a pierwszy etap aplikacji już pomyślnie zakończono. Przepisy w zakresie ochrony środowiska ograniczają możliwości wykorzystania w charakterze magazynów energii elektrownie szczytowo-pompowe, które wymagają odpowiedniego ukształtowania terenu oraz niezbędnych zasobów wody.

Transformacja energetyczna to złożony i długotrwały proces. Innowacje dotyczą tak technologii, jak zarządzania procesem inwestycyjnym i project finance. Oczekujemy, że Unia Europejska nie ograniczy swojej aktywności w tym zakresie do stawiania warunków, lecz udzieli adekwatnego do skali wyzwań wsparcia. Polska potrzebuje bowiem energii jako motoru napędzającego dalszy pomyślny rozwój.

Maciej Małek

Dążenie do zniszczenia tożsamości narodów

Wszyscy powinniśmy być Polską – pisze „La Gaceta de la Iberosfera”

Hiszpańska „La Gaceta” zauważa, że polski rząd Mateusza Morawieckiego jest w ostatnich czasach bezpardonowo atakowany w Parlamencie Europejskim. Stając po stronie Polski, w swoim artykule przypomina, czym jest naród i tradycja.

„W obliczu niepohamowanych ataków Europejskiej Partii Ludowej (PPE) i Partii Europejskich Socjalistów (PSE) na polską suwerenność, nie pozostaje nam nic innego, jak przypomnieć europosłom tych dwóch dominujących grup, że ich status polityków nie zwalnia (a wręcz przeciwnie) od znajomości pojęcia narodowości” – pisze „La Gaceta”.

I tłumaczy, że „naród jest wspólnotą etyczną, przedłużeniem w czasie ojczyzny, która powstaje ze związku obyczajów, przyzwyczajeń i tradycji”. Budowanie tożsamości narodowej nie wymaga zaangażowania żadnej woli politycznej, zwłaszcza że dzieje się to często w opozycji do wewnętrznej i zewnętrznej woli politycznej. „To właśnie w zjawisku stopniowego uznawania tożsamości ludu mieszczą się narodziny ojczyzny, która staje się narodem. Od tego momentu jedyną rzeczą, której należy bronić, jest naturalna tożsamość zakorzeniona w ziemi, która służy jako miejsce pochówku przodków” – zaznacza gazeta.

Tymczasem Europa, PPE i PSE chcą zniszczenia tożsamości narodów, by wspomóc proces ich przyspieszonego podporządkowania się biurokratycznej machinie. Bez względu na towarzyszące temu intencje, polski naród ma prawo bronić się w obliczu narzuconego przez Brukselę porządku.

„Narodowość jest najpoważniejszą rzeczą, jaką posiada człowiek, każdy człowiek, a państwa i ich władze, zwłaszcza sądownictwo jako kontrola kaprysów politycznych, są zobowiązane do obrony tożsamości narodowej przed każdym wrogiem wewnętrznym lub zewnętrznym. Polska, tak jak jej premier Mateusz Morawiecki, ma wszelkie powody, aby bronić swojej suwerenności narodowej i prymatu prawa krajowego nad prawem wspólnotowym we wszystkim, czego nie scedowała dobrowolnie na budowę Unii Europejskiej” – pisze „La Gaceta”. I zauważa, że UE odeszła od swoich korzeni i założeń, gdyż Bruksela stała się wrogiem „tej etycznej i historycznej wspólnoty, jaką jest Polska, i nie tylko Polska, ale wszystkie inne narody, które nie chcą się wcielić do tej globalistycznej, pobudliwej i wielokulturowej zupy, jaką jest dziś Europa Partii Ludowej i Partii Socjalistycznej, tak daleka od Europy narodów wymarzonej przez Schumana i Adenauera”.

„Stawką jest nasza tożsamość narodowa, która jest jedyną rzeczą, której człowiek może się trzymać, gdy wszystko idzie coraz gorzej. Tak jak jest teraz. W tym sensie wszyscy powinniśmy być Polską” – podsumowuje „La Gaceta”.

źródło: La Gaceta de la Iberosfera

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

10 grudnia 2021 - Warszawa – Polska **www.nowyswiat24.com.pl** Numer 11/2021

Morskie Farmy Wiatrowe w Polsce – "Szanse i zagrożenia"

Nawiązując do rozwijającej się aktualnie w Polsce morskiej energetyki wiatrowej i toczących się wokół tych wydarzeń szeregu dyskusji, chcielibysmy spojrzeć na perspektywy tego segmentu w kontekście ogromnych szans ale rownież upływajacego czasu.

W tym artykule nie będziemy już pisać o kwestiach oczywistych, takich jak skala planowanych inwestycji w polskiej strefie ekonomicznej i ich znaczenia w kontekście szansy dla Polski, polskich przedsiębiorstw, polskich wykonawców czy stojących przed tym wyzwań i problemów w ogólnym wymiarze. W ramach naszej oceny spróbujemy natomiast spojrzeć na kilka wybranych, ale istotnych elementów przygotowania i budowy morskich farm wiatrowych oraz szans i zagrożeń z tym związanych. Ze względu na bardzo dużą kompleksowość tych projektów jestem zmuszony tylko do wybiórczej oceny i poruszenia tylko kilku wybranych zagadnień.

W dużym skrócie warto tylko wspomnieć, że nadal nie podjęto decyzji o budowie ani jednej jednostki morskiej z całego typoszeregu, statków do budowy czy obsługi morskich farm wiatrowych. Nadal nie wiadomo, gdzie będzie zlokalizowany polski port instalacyjny ani jak będzie wyglądać ostateczna wersja ustawy offshorowej czy formuła ochrony polskiego rynku przed konkurencją zagraniczną.

Dynamika rozwoju morskich farm wiatrowych w skali całego świata, wciąż się utrzymuje, a nawet przybiera na sile

Dynamika rozwoju morskich farm wiatrowych w skali całego świata, wciąż się utrzymuje, a nawet przybiera na sile. Do projektów europejskich w ramach, których przypomnę zakładamy pozyskanie 400GW w Europie w perspektywie do roku 2050, dołącza stopniowo Azja na morzach, w której realizują już swoje projekty kraje takie jak Tajwan, Japonia, Korea Południowa czy Chiny a w planach są inwestycje w Wietnamie, na Filipinach, Indonezji oraz Indiach. Docelowo planowane inwestycje w Azji wygenerują do roku 2050, 600GW mocy, dominując rynek światowy, a Chiny jako pojedynczy kraj mają się stać największym producentem energii pochodzącej z wiatru.

Wraz ze wzrostem wielkości turbin i generowanej z nich mocy maleją jednostkowe koszty produkcji elektrycznej. Poprawa technologii, uzupełniona o nowe doświadczenia deweloperów oraz firm instalacyjnych mają w tym również znaczący udział. Przewiduje się dalszą redukcję kosztów energii z poziomu $100MWh – $130/MWh dzisiaj do poziomu $30MWh – $50MWh w latach 2030 – 2050. Wciąż rosną moce turbin, z poziomu 8MW – 10MW dzisiaj do planowanych w roku 2030 nawet 20MW.

Jak to robią inni

Najlepiej uczyć się na cudzych błędach. Terminologia „odrobionej lekcji" jest na offshorze powszechna od początku jego istnienia.

Wiedząc, że budowa morskich farm wiatrowych jest wybitnie złożona oraz patrząc wstecz na projekty już zrealizowane, więcej niż pewne będą sytuacje zagrażające albo finansowaniu projektu, albo jego harmonogramowi. Kwestie takie jak brak statków, opóźnienia w dostawach podzespołów i sprzętu, brak reprezentacji Klienta na morzu czy w zakładach produkcyjnych, rozbudowany system dostaw, słaba komunikacja na projekcie, zagrożenia pogodowe, brak wdrożonych standardów bezpieczeństwa, czy nieprzygotowanie rozwiązań alternatywnych i wiele innych, o których mógłbym długo pisać, może jednoznacznie kolidować z oczekiwaniami zainteresowanych stron i przesunąć projekt na ścieżkę zagrażającą jego finalizacji.

Patrząc na rynki, które rozwijają właśnie swoje pierwsze farmy wiatrowe, można posłużyć się przykładem tajwańskim. Wydawałoby się, że w tak rozwiniętym technologicznie i ekonomicznie bogatym kraju, kwestie organizacji pracy i inwestycji związanych z rozwojem morskich farm wiatrowych będą absolutnie priorytetowe i wszystkie problem rozwiązywane będą na bieżąco i bardzo sprawnie. Z perspektywy czasu, w którego trakcie powstały już pierwsze farmy, można stwierdzić, że Tajwan okazał się rynkiem bardzo trudnym, a lokalne władze jeszcze nie udźwignęły ciężaru właściwej organizacji tego biznesu. Anachroniczne przepisy, brak doświadczenia zarówno po stronie inwestorów, władz, jak i lokalnych podwykonawców, mikrozarządzanie, rotacje personelu, źle sformułowane wymagania krajowego łańcucha dostaw, a jakby tego było mało silne prądy i niesprzyjające warunki pogodowe.

Korzystając choćby z tej lekcji, Polska ma szanse zrobić to lepiej, uniknąć podobnych błędów, wdrażając kilka praktyk I rozwiązań.

Po pierwsze potrzebna jest pewnego rodzaju harmonizacja zadań, czyli rząd działający w kierunku sprawnej centralizacji urzędów, gdzie wszystkie instytucje rządowe, departamenty, ministerstwa rozmawiają tym samym językiem. Na przykład w przypadku, kiedy operator chce zmobilizować do Polski statek, jest w stanie w jednym miejscu załatwić wszystkie kwestie formalne albo kiedy statek chce wejść lub wyjść z danego portu, nie napotyka różnic w wymogach formalnych pomiędzy tym a innymi portami, tak jak to ma miejsce właśnie na Tajwanie.

Najlepiej uczyć się na cudzych błędach. Terminologia „odrobionej lekcji" jest na offshorze powszechna od początku jego istnienia

Wyciągając wnioski, unikniemy sytuacji absurdalnych, gdy w momentach absolutnie krytycznych np. śmierć bliskiej osoby, kogoś pracującego na morzu, okazuje się, że podróż do domu zajmuje kilka dni, bo tyle trwają urzędowe procedury organizacji takiego wyjazdu. Innym przykładem może być np. brak możliwości wysłania kontenera z żywnością na statek, ponieważ nie ma w lokalnej procedurze możliwości wpisania adresu statku będącego na morzu. W takiej sytuacji np. duży statek instalacyjny, który z definicji jest autonomiczny i pracuje na morzu kilka miesięcy, musi zawinąć do portu, co jest procesem czasochłonnym i zupełnie niepraktykowanym. Dodając do tego koszt jego utrzymania w czasie tej operacji, którą pokrywa deweloper w ramach kontraktu, mamy zarówno opóźnienia w projekcie, jak i ogromne straty finansowe.

Żeby szybko i sprawnie rozwiązywać problemy i bieżące potrzeby, polska administracja powinna stworzyć swego rodzaju forum, na którym zarówno wykonawcy, jak i podwykonawcy mający swoją reprezentację, będą mieli szanse zgłosić uwagi i wyrazić swoją opinię. Takie silne gremium poprzez organizacje cyklicznych spotkań, na których wymieniane są poglądy i adresowane są kwestie, zarówno te, które są najbardziej pilne, ale jak i te mniej naglące. Ważne jest to, żeby był to głos nie tylko deweloperów, ale również podwykonawców i dostawców, którzy mają zasadnicze znaczenie dla sprawnego rozwoju morskich farm wiatrowych w Polsce i z pewnością będą napotykali na bariery w trakcie realizacji swoich zadań. Brak reakcji na takie głosy i potrzeby, jak w przypadku wspomnianego Tajwanu, może doprowadzić do tego, że firmy podwykonawcze będą z tego rynku wychodzić, walcząc bezowocnie z systemem, który skutecznie blokuje logiczne myślenie i działanie a którego sami nie mogą zmienić. Patrząc na to, ile kolejnych projektów budowy farm wiatrowych będzie uruchamianych, w krótkiej perspektywie czasowej na świecie, możemy się spodziewać, że duże firmy podwykonawcze nie będą miały większych sentymentów ani konstruktywnych argumentów do pozostania na takim rynku.

Polska jest dzisiaj jednym z największych obszarów inwestycji w morską energetykę odnawialną na świecie. Śmiało konkurujemy atrakcyjnością dla inwestorów wybierających pomiędzy takimi krajami jak Niemcy, Anglia czy Holandia. Zanim rozpędzą się inwestycje w Azji czy Stanach Zjednoczonych, Polska przykuwa uwagę i oferuje transparentny i dojrzały ekonomicznie rynek dla nowych inwestorów.

Żeby zbudować farmy wiatrowe, nie wystarczą tylko pieniądze. W skali całego projektu liczą się zarówno wcześniejsze doświadczenie, odpowiednia kadra, jak i właściwe narzędzia. Instalacje farm niosą za sobą ogromne wymagania i oczekiwania. Zbudowanie żelaznych kompetencji zajmuje lata i nie wystarczą metody takie jak szkolenia czy kursy. Zarówno po stronie inwestora, jak i podwykonawcy musi istnieć solidny fundament oparty na wiedzy uzyskanej w trakcie pracy na morzu. Podwykonawcy budujący farmy wiatrowe nie będą w stanie zrealizować takich zamówień bez właściwego zaplecza w postaci statków instalacyjnych obsługiwanych przez kompetentny, zgrany i umiejętnie dobrany personel. Zbudowanie samego statku również nie wystarczy. Do tego trzeba wykształcić kadry, które będą w stanie nim operować i spełniać światowe standardy w dziedzinie bezpieczeństwa, pracy i urządzeń.- Rozwój farm wiatrowych wymaga umiejętnego zarządzania procesem kontraktacji, który spro-

Ciąg dalszy na stronie 5

wadza się do metodologii pakietowania przetargów i rozdzielenia tych pakietów na pojedyncze elementy w przypadku kontraktacji mniejszych prac lub zdjęcia ryzyk z inwestora i połączenia wielu pakietów w jedną całość w celu zakontraktowania podwykonawcy, który zaoferuje rozwiązania budowy pod klucz. Pomijając fakt, że im więcej na projekcie podwykonawców i zadań, tym więcej wygenerowanych ryzyk, to zrealizowanie takich kompleksowych prac, na dziś całkowicie wyklucza polskich podwykonawców, którzy takich narzędzi ani kompetencji nie mają, ani nie będą w stanie ich w krótkim czasie zbudować. Takie zadania mogą udźwignąć tylko firmy zagraniczne, które są na rynku od wielu lat i mają nabyte doświadczenie w realizacji takich zleceń. Niemniej umiejętna ochrona polskiego rynku powinna być sprawą nadrzędną.

Dla porównania kraje takie jak Australia miały ostateczny głos w tym, jak ma wyglądać zaangażowanie lokalnej siły roboczej w rozwoju rynku wydobywczego na morzu. Dzisiaj rząd australijski, w perspektywie nadchodzących inwestycji w segmencie morskich farm wiatrowych, pod naciskiem różnych stowarzyszeń, instytucji i związków zawodowych, już dyskutuje, jak wzmocnić udział lokalnego rynku. Wchodząca właśnie na agendę, ustawa offshorowa ma zdefiniować, jak będzie wyglądał tamtejszy rynek energetyki odnawialnej w obszarze konstrukcji, operacji, utrzymania ruchu i likwidacji morskich farm wiatrowych. Jednym z argumentów jest pojawiające się stwierdzenie o tym, że jedyną drogą do tego, żeby morskie farmy wiatrowe spełniały lokalne standardy jakości, bezpieczeństwa i niezawodności, jest zlecenie ich budowy firmom australijskim, które spełniają w tej dziedzinie wszystkie normy międzynarodowe. Taka polityka zakupowa pozwala na to, że wszystkie zainwestowane środki finansowe wracają na lokalny rynek, a dodatkowo generują jeszcze tysiące nowych miejsc pracy.

Miejmy nadzieje, że polski rząd również ma świadomość tego, że stojąc przed ogromną szansą uruchomienia wielomilionowych kontraktów na budowę morskich farm wiatrowych, ochrona polskiego rynku powinna być sprawą nadrzędną. Ponieważ wszystkie dotychczasowe projekty, są prowadzone w formule partnerskiej, w której polskie firmy weszły w relacje z bardziej doświadczonym, ale zagranicznym podmiotem, należy się spodziewać, że w jakimś zakresie będą sugerowane rozwiązania i serwis przywiezione zza granicy. O ile kwestie instalacyjne wymagają statków, o tyle jest bardzo wiele zakresów i zadań, które na pewno mogą, choć częściowo wykonać polskie firmy i polscy podwykonawcy. Kluczowym będzie zbudowanie wystarczającej wiedzy po stronie inwestora polskiego na tyle, aby był w stanie dokonywać tych wyborów świadomie i rozsądnie.

Z tym wiąże się jeszcze jedna istotna kwestia, mianowicie wybór między ceną a jakością. Pakiety przetargowe jakkolwiek duże czy małe, będą wymagały ofertowania i wyboru spośród kilku podmiotów, które startują w przetargu. Kryteria wagowe będą pewnie różne, ale na pewno znaczącym będzie cena oferty. Patrząc przez pryzmat moich dwudziestokilkuletnich doświadczeń na offshorze wiem, jak ogromnie istotne jest doświadczenie i mocne referencje oferujących, które pozawalają uniknąć problemów z niskiej jakości sprzętem czy niekompetentnym zapleczem personalnym. Sugerowanie się ceną jako największym kryterium wagowym nie jest optymalnym rozwiązaniem. Jest też w tym element ryzyka dla klientów, że podmiot wygrywający najniższą ceną nie udźwignie projektu i nie skończy pracy w terminie. Wybór między ceną a jakością musi być wyważony, a udział wagowy zbilansowany również kompetencjami czy zapisami kontraktów. Nie ma nic dziwnego w tym, że startujący w przetargach przegrywają nieznacznie w ofercie komercyjnej, ale tam, gdzie cena różni się o 30% – 50% powinny się pojawić wątpliwości czy podwykonawca na pewno wywiąże się ze swoich obowiązków.

Statki instalacyjne – co nas czeka

Światowy rynek statków instalacyjnych za chwilę zderzy się z twardą rzeczywistością, w której przy rosnących mocach turbin oraz wadze i gabarytach elementów instalacyjnych, brak będzie odpowiednio dużych statków, które dosłownie i w przenośni udźwigną ciężar rozpędzających się inwestycji w segmencie morskich farm wiatrowych na świecie. Patrząc przez pryzmat polskiego rynku, można się spodziewać, że inwestorzy będą brali pod uwagę tylko rozwiązania turbin o jednostkowych mocach przekraczających 10MW. A to oznacza, że aktualnie na globalnym rynku jest tylko kilka jednostek, które mogą temu sprostać. Widząc rosnące zapotrzebowanie energetyczne przy ciągłym dążeniu do jednostkowego obniżenia kosztów produkcja energii pochodzącej z wiatru, możemy założyć, że moc turbin będzie rosnąć i nieuniknione będą instalacje o mocach 15MW a w niedalekiej przyszłości nawet 20MW. Aktualnie w budowie jest 9 jednostek (nie licząc statków, które są budowane tylko na rynek chiński), które będą zdolne sprostać turbinom 15MW, mając odpowiednio duże gabaryty, dużą powierzchnię pokładu, oraz dźwig o minimalnej zdolności powyżej 2000 ton i minimalnej wysokości zasięgu haka powyżej 150 metrów. Trzy statki będą oddane do eksploatacji w roku 2022, kolejne trzy w 2023, dwa w 2024 i jeden w 2025. Zakładając bardzo optymistyczny scenariusz, w którym te jednostki są zakontraktowane z dużym wyprzedzeniem, armator potwierdza ich dostępność w danym oknie kontraktowym, a projekt przebiega zgodnie z harmonogramem, to wciąż stoją przed inwestorami w Polsce inne wyzwania. O ile statek typu Heavy Lift do transportu i instalacji fundamentów, nie sprawia większych problemów związanych z “parkowaniem” na kotwicy czy w porcie, o tyle Jack-Up instalujący turbiny już tak. Pierwsze problemy pojawią się w momencie jego mobilizacji na Morze Bałtyckie i możliwości przejścia przez duńskie cieśniny, które są połączone mostem. Ani nie draft, ani szerokość czy długość kadłuba nie będą tu przeszkodą, ale długość nóg już zdecydowanie tak. Problem technicznie oczywiście jest do rozwiązania, ale wiąże się z większym kosztem takiej mobilizacji. **ENMARO** w swoich wewnętrznych analizach dość szczegółowo ten przypadek rozpatrywało.

FOTO: MACIEJ OLCZAK

Drugą szalenie istotną kwestią, jest postawienie takiego statku przy nabrzeżu portowym. Parkowanie Jack Up-a wiąże się z opuszczeniem nóg ich penetracją w dnie i podniesieniem całego kadłuba do góry. Spodziewając się przy dużych statkach, nacisków rzędu kilkunastu tysięcy ton na każdej nodze, głębokość penetracji nóg będzie kluczowym elementem warunkującym jego bezpieczny postój i załadunek. Żeby do tego doszło, każdy operator statku ma swoje procedury postojowe, ale co do zasady wszystkie z nich wymagają badań geotechnicznych, czyli sondowania dna metodą próbkowania gleby i jej dalszej analizie laboratoryjnej pozwalającej zdefiniować krzywe penetracji gleby w zależności od ciężaru i ostatecznym określeniu czy statek może bezpiecznie podnieść kadłub ponad powierzchnię wody, unikając tzw. raptownego zapadnięcia nóg, które w prostej linii prowadzą do kolizji i gigantycznych szkód, wraz z zagrożeniem zdrowia i życia ludzi. Pytanie tylko, czy takie badania były robione i jak dawno. Mało tego, próbkowanie, co do zasady, musi być dokonane dokładnie w punktach, w których nogi statku zetkną się z podłożem. Odstępstwem od tego mogą być lokalizacje bardzo dobrze znane, na których prowadzono takie badania w wielu miejscach w danym okresie i jednoznacznie wiadomo, że na całym obszarze jest identyczna warstwa gleby. Historyczne dane mają dużą wartość, ale nie każdy armator je akceptuje, szczególnie w sytuacjach, kiedy były one zbierane dawno temu albo gdzie istnieją duże zmiany w strukturze dna, powodowane choćby przez falowanie czy prądy morskie.

Można oczywiście rozpatrywać wariant innego typu, w którym Jack Up nigdy do portu nie zawija, tylko prowadzi instalację na lokalizacji. Jest to możliwe, choćby z uwagi na to, że pokład helikopterowy pozwala mu transportować ludzi bez przerywania operacji, a logistyka dba o to, by był zaopatrzony w paliwo, żywność i części. Natomiast w takim scenariuszu konieczny jest dugi statek, najprawdopodobniej “heavy lift” albo bardzo duży “supplier”, który służyłby jako wsparcie transportowe dla potrzeb dostarczania dużych elementów. Wadą tego rozwiązania jest oczywiście koszt operacji, pomijając wiele innych aspektów choćby takich jak zwiększenie ilości operacji przeładunkowych co przy elementach ważących ponad 1000 ton, bezpośrednio zwiększa ryzyko uszkodzenia czy wypadku na morzu.

Ciąg dalszy na stronie 6

Nowych statków w rodzaju “heavy lift” zakontraktowano pod budowę na razie tylko 5 sztuk. Może to wynikać z tego, że tego typu jednostki były i są dostępne na rynku w segmencie ropy i gazu i w jakimś stopniu przy spowolnieniu tego rynku, może nastąpić ich migracja do segmentu farm wiatrowych. Drugim czynnikiem może być fakt, że statki do budowy turbin mogą również stawiać fundamenty. Niemniej patrząc na te zasoby z punktu widzenia planowanych inwestycji, można z przekonaniem stwierdzić, że to zdecydowanie za mało.

W całej rozciągłości projektu logistyka będzie odgrywać ogromną rolę i jest to element nie do przecenienia.

Bezpieczeństwo Pracy na Morzu

Health Safety Environment albo w polskich realiach BHP, jest aspektem mało poruszanym w przestrzeni publicznej a mającym na międzynarodowych projektach offshorowych absolutnie priorytetowe znaczenie. Wydawać by się mogło, że bezpieczeństwo pracy to pytanie o właściwy strój roboczy pracownika czy regularny przegląd gaśnic i ich ważny certyfikat. Nic bardziej mylnego. W obiektach zlokalizowanych na lądzie być może tak, ale na morzu bezpieczeństwo pracy to przede wszystkim bardzo restrykcyjne przepisy, standardy i wymogi, które musi spełnić pracodawca i personel. Właściwym byłoby tu nawet określenie “Zarządzanie Bezpieczeństwem i Higieną Pracy na Instalacji Offshore“. Żeby wyjechać do pracy na morzu, każdy bez wyjątku musi posiadać komplet certyfikatów, które wydają wyłącznie instytucje do tego celu autoryzowane. Wypadki na morzu, jeśli się zdarzają, są zazwyczaj tragiczne w skutkach, choćby z tego powodu, że jednostka na morzu jest osamotniona, oddalona od brzegu a tym samym odcięta od szybkiej pomocy. Jeśli jest ona nawet niesiona helikopterem, to nie jest natychmiastowa. Zatonięcia statków, czy pożary platform na długo zostają w pamięci, szczególnie jeśli spowodowały albo katastrofę ekologiczną, albo pochłonęły wiele ofiar. Stąd bezpieczeństwo ludzi, które jest w każdym przypadku sprawą nadrzędną, wymusza nie tylko tworzenie nowych przepisów, ale również wymaga ich bezwzględnego przestrzegania.

Specyfiką pracy offshore jest brak dostępu do usług służb medycznych, straży pożarnej czy policji, stąd potrzeba odpowiedniego szkolenia do pracy na offshorze na przykład posiadanie certyfikacji BOSIET (Basic Offshore Safety Induction and Emergency Training), które przygotowują załogi instalacji do przejęcia ról tych służb w razie potrzeby. Oczywiście właściwe działanie w razie konieczności wymaga ciągłego doskonalenia umiejętności nabytych na szkoleniach i kursach.

W wielu krajach za normę przyjęto utrzymywanie kwalifikowanego lekarza lub sanitariusza na instalacjach obsadzonych stałą załogą.

O ile rynek offshore w segmencie ropy i gazu wykreował takie standardy, o tyle budowa i eksploatacja morskich farm wiatrowych jeszcze ma sporo do zrobienia.

Istnieje więc potrzeba stworzenia regulacji, które staną się podstawą bezpiecznego zarządzania projektami offshore w polskiej strefie ekonomicznej. Kluczem do sukcesu tego przedsięwzięcia będzie zaangażowanie najwyższego kierownictwa organizacji, która zajmie się finansowaniem i budową morskich farm wiatrowych, w procesie budowy kultury bezpieczeństwa pracy. Wynika ona także z międzynarodowych zobowiązań, których Polska jest sygnatariuszem.

Obowiązki pracodawcy są opisane przez Międzynarodową Organizację Pracy w przepisach ILO – OSH 2001 (International Labour Office – guidance on Occupational Safety and Health Management System, convention C155 and OSH recomendation R164).

Duża część systemu jest opisana w ustawach i rozporządzeniach zarówno polskich jak i Unii Europejskiej. Adaptacja ich do potrzeb i specyfiki morskich farm wiatrowych, wydaje się najlepszym rozwiązaniem. Przepisy bezpieczeństwa na morzu powstawały latami i ich ewolucja zawsze była podyktowana bezpieczeństwem pracy. Najpierw w krajach rozwiniętych, które mocno eksploatowały złoża ropy i gazu, takich jak Norwegia, Wielka Brytania, Holandia czy Stany Zjednoczone, potem stopniowo wdrażane na całym świecie.

W całej rozciągłości projektu logistyka będzie odgrywać ogromną rolę i jest to element nie do przecenienia

Wykorzystując doświadczenia innych krajów można by się zatem oprzeć na bezpośrednich doświadczeniach innych państw korzystając z rozwiązań takich jak np. norweski NORSOK, brytyjski HSE czy amerykański OSHA. Pewną niedogodnością jednak może być fakt, iż systemy te zostały stworzone z myślą o sektorze ropy i gazu i trzeba adoptować je do sektora energetycznego.

Są również w Europie inne kraje, np. Niemcy, które nie były mocno zorientowane na eksploracje złóż węglowodorów i dużo wcześniej zaczęły budować morskie farmy wiatrowe. Można wykorzystać ich doświadczenia.

Budując morskie farmy wiatrowe głównie w basenie Morza Północnego, Niemcy stworzyli zbiór przepisów odpowiadający specyfice tej pracy. SchuSiKo (Schutz-und Sicherheitskonzepte von Offshore Windparks), który jest częścią Sicherheit von Schiff-und Luftverkehr, Arbeitsschutz und Notfallrettung.

Budowa morskich farm wiatrowych w Polsce wymagać będzie nie tylko specjalistycznych jednostek, na których pracować będą setki osób, ale również wielu skomplikowanych i operacyjnie ryzykownych procesów przeładunkowych i instalacyjnych. Procedury takie jak Permit to Work, Stop Cards, Tool Box Meetings, Safety Joba Analysis są integralną częścią systemu zarządzania BHP na równi z oceną ryzyka.

W realiach lądowych funkcjonują przepisy ustawy Kodeks Pracy, która niestety nie odnosi się w żaden sposób do systemu i środowiska pracy na morzu. Konieczne zatem jest stworzenie regulacji na bazie Konwencji o Pracy Na Morzu, MLC 2006 (z poprawkami 2018).

Dobór odpowiednich kabli jest bezpośrednio związany z projektem elektrycznym całej farmy wiatrowej i dokonywany już na etapie pierwszych studiów projektowych

UXO-gorący temat

Szalenie istotną i często poruszaną na łamach polskiej prasy i portali internetowych, kwestią jest napotkanie w trakcie prac podwodnych, potencjalnych niewybuchów leżących na dnie morza w polskiej strefie Bałtyku. Zdecydowanie jest to kwestia, której nie można ignorować natomiast światowy rynek offshore dość precyzyjnie wypracował tu obowiązujące standardy i procedury podejścia do tego tematu. Istotne jest zrozumienie faktu, że zagrożenie niewybuchem, w większości przypadków, nie jest bezpośrednio zagrożeniem dla ludzi, ale dla obiektów, które znajdują się na dnie morza, np. instalacji kablowych, rurociągów, fundamentów itp. Usunięcie czy unieszkodliwienie niewybuchów wiąże się z koniecznością na przykład wytyczenia tras kablowych ciągnących się od instalacji na morzu aż do ich wyjścia na ląd, co wymaga dokładnego zbadania dna w bezpośrednim otoczeniu toru kablowego. Proces ten jest podzielony na kilka etapów, które pozwalają precyzyjnie ustalić czy na danym obszarze znajdują się niewypały, ile ich jest i gdzie są zlokalizowane.

W pierwszej fazie analiz wykonuje się mapy studyjne obszaru farmy wiatrowej, na której nanosi się obiekty leżące na dnie morza, które są historycznie znane z poprzednich badań tych akwenów, a które to obiekty mogą potencjalnie stanowić zagrożenie, będąc albo bronią chemiczną, amunicją czy niewybuchami pozostałymi po II wojnie światowej. Na tym etapie ustala się potencjalnie rodzaj tych niewybuchów, głębokość wody, na której się znajdują, jak głęboko są zakopane, ich wielkość, wagę oraz wstępnie, metodę badań geotechnicznych koniecznych do przeprowadzania, oraz dystans i częstotliwość próbkowania w ich trakcie.

W kolejnej fazie prowadzi się ze statku badania z wykorzystaniem sond, sonarów i skanerów, które ciągnięte za jednostką weryfikują wcześniejsze mapy i w ramach, których precyzyjnie definiuje się ostateczną liczbę potencjalnych obiektów na dnie. Do tego etapu jeszcze nie wiadomo, ile ze znalezionych obiektów stanowi faktyczne zagrożenie i które z nich to niewybuchy, natomiast można wówczas już wygenerować dokładniejszą mapę pokazującą ilość i dokładną lokalizację obiektów do dalszego sprawdzenia.

Dopiero III faza, w której następuje weryfikacja przeprowadzona albo przez zespól nurków, albo robota ROV, pozwala dokładnie stwierdzić ilość autentycznych obiektów. Jeśli leżą one na trasie kabli, rurociągów czy fundamentów wiatraków, przeprowadza się weryfikację czy można je ominąć, czy należy usunąć, bo stanowią przeszkodę i zagrożenie dla obiektów i ludzi.

Ciąg dalszy na stronie 8

W przypadku, kiedy niewybuchy nie mogą zostać na dnie, nie mogą być ominięte albo bezpiecznie usunięte, najczęstszą metodą jest obłożenie ich ładunkami wybuchowymi i detonacja na miejscu. Zazwyczaj takie prace prowadzi marynarka wojenna w danym kraju. Po usunięciu wystawiany jest certyfikat, który jest wymagany przez instytucje finansowe i firmy ubezpieczeniowe tzw. "ALARP Clearance Certificate".

Nie są mi znane przypadki, kiedy niewybuchy są podejmowane z dna i zabierane na statek. Byłaby to najmniej bezpieczna i logiczna opcja. Jedynie w przypadku, kiedy po inspekcji wizualnej można stwierdzić, że ładunki są puste lub uszkodzone i jednoznacznie stwierdzono, że nie zagrażają życiu wybiera się je z dna kategoryzując jako odpady do usunięcia.

Przepisy bezpieczeństwa na morzu powstawały latami i ich ewolucja zawsze była podyktowana bezpieczeństwem pracy

Kable – potencjalne problemy

Możemy z pewnością spodziewać się istotnego wzrostu cen kabli. Tylko w tym roku odnotowaliśmy znaczący wzrost cen surowców, miedzi o 20% a aluminium aż od 42%. Należy się spodziewać, że wymiernie przełoży się to na poziom cen w trakcie budowy farm wiatrowych, gdzie zakup samych kabli jest jednym z kluczowych czynników cenotwórczych całej farmy. Biorąc pod uwagę odległości od brzegu oraz poziom generowanej mocy liczonej w GW na pojedynczym obszarze, kable będą zapewne jednym z największych wydatków, czekających inwestorów. Statystycznie zakup samych kabli, bez ich instalacji to około 5-7% wydatków w skali całego projektu dotyczącego budowy farm na morzu. Warto wspomnieć, że najwięksi producenci kabli dla morskich farm wiatrowych zużywają nawet do 500,000 ton miedzi rocznie.

Wraz z rosnącym zapotrzebowaniem i cenami, pojawia się też coraz większy nacisk producentów oraz inwestorów na stosowanie kabli aluminiowych. Zaletą ma tu być niższa cena oraz mniejsza waga. Dopracowano też technologicznie kwestie elastyczności aluminium. Natomiast niezaprzeczalnie miedź ma zdecydowanie lepszą przewodność elektryczną, jest odporna na korozję i wciąż bardziej elastyczna. Wbrew pozorom większy ciężar miedzi w przypadku kabli jest zaletą podczas ich kładzenia i zakopywania. Nie ma ryzyka wypływania kabli na powierzchnie. Miedź pozwala też uzyskać mniejszy promień skrętu kabli, tak istotny podczas ich montażu. Natomiast w momencie instalacji, te same statki będą mogły ułożyć kilkanaście kilometrów więcej długości kabla aluminiowego niż miedzianego, w przypadku tej samej średnicy kabli, co przełoży się wymiernie na harmonogram projektu i jego koszt. W innym przypadku, żeby osiągnąć tę samą długość układanego kabla, kabel miedziany musi mieć mniejszy przekrój poprzeczny niż jego aluminiowy odpowiednik. Niemniej jednak kable miedziane stanowią wciąż znakomitą większość instalacji na morzu i nic nie wskazuje, żeby to się w najbliższym czasie zmieniło.

Wraz z pojawiającymi się kolejnymi farmami na morzu, automatycznie będzie rósł dystans od brzegu, a co za tym idzie długość kabli eksportowych. To pociąga za sobą coraz większe zapotrzebowanie po stronie statków instalacyjnych, które będą w stanie załadować i nawinąć na bęben grubsze kable i o większej długości. Większe statki oznaczają równocześnie wyższe stawki dzienne, wpływając bezpośrednio na większe wydatki po stronie CAPEX-u projektów. Kable, ich instalacja i uruchomienie, też nie pozostają całkowicie bezproblemowe. Niczym nowym są problemy związane z uszkodzeniami w trakcie transportu czy instalacji, problem z ułożeniem i zasypaniem na wymaganej głębokości, wadliwe podłączenia czy problem z wyjściem tunelem na ląd. Wszystko to w prostej linii prowadzi albo do zwiększonych wydatków, albo opóźnień na projekcie. Ryzyka te można w znaczny sposób ograniczyć, stosując odpowiednie praktyki w trakcie prowadzenia projektu, nowe rozwiązania technologiczne włącznie z testowanym wciąż przejściem na niższe częstotliwości pracy (16-2/3Hz), praktyki "lesson learnt", nowe regulacje prawne, lepsze zarządzanie podprojektami (interface management) czy dzielenie się wiedzą pochodzącą z innych projektów. Nie do przecenienia są też testy u producentów, w których swoją reprezentację powinien mieć też deweloper, czyli klient. Nie inaczej wygląda sprawa po stronie samej instalacji. Tu nie tylko dbałość o właściwe przygotowanie i ułożenie kabli mają znaczenie, ale z punktu widzenia całego projektu także właściwy dobór okien pogodowych na obszarach, które są przez kilka miesięcy w roku narażone na niesprzyjające warunki takie, jak silny wiatr, falowanie czy prądy.

Dobór odpowiednich kabli jest bezpośrednio związany z projektem elektrycznym całej farmy wiatrowej i dokonywany już na etapie pierwszych studiów projektowych (FEED). Wraz z wyborem kabli, projektowany jest od razu sposób ich instalacji. Na ostateczny kształt wpływ ma wiele czynników takich jak moce, sposób i głębokość ułożenia, rodzaj formacji skalnej na trasie kabli, sposób podejścia do stacji pośredniej czy metoda wyjścia na ląd.

Połączenie procesu zakupu i instalacji kabli, zdejmuje z deweloperów, ryzyko przestoju statków, jeśli kable są wadliwe lub nie są dostarczone zgodnie z harmonogramem. Świetnie ilustrują to problemy napotkane w czasie budowy farmy na offshorze brytyjskim, kiedy jeden z kabli nie przeszedł pozytywnie testerów w fabryce producenta.

Zrobić to lepiej

Wszyscy zdajemy sobie sprawę, przed jak ogromną szansą stoi teraz Polska, będąc u progu jednych z największych inwestycji w historii całej naszej dotychczasowej energetyki. Słowa te padały już wielokrotnie na różnych forach, sympozjach czy łamach prasy. Obrazują to jeszcze bardziej realne wydatki, które są przed nami. Opierając się na doświadczeniach zagranicznych i danych historycznych, jako przykład możemy podać, że skromnie licząc, koszty związane z uruchomieniem farmy wiatrowej o pojedynczej mocy jednego gigawata oscylują wokół 12 miliardów złotych. Kolejne 400 milionów złotych na takiej samej farmie to roczne koszty operacyjne związane z utrzymaniem ruchu i serwisem urządzeń. Wiedząc, że aktualnie planuje się wyprodukowanie prawie 11 gigawatów energii na polskim morzu, z czego ponad połowa przypadnie dla spółek skarbu państwa, kwoty te naprawdę robią wrażenie.

Statystycznie zakup samych kabli, bez ich instalacji to około 5-7% wydatków w skali całego projektu dotyczącego budowy farm na morzu

Nie wspominamy tu o całym procesie związanym z rozwojem rodzimych firm oraz tworzeniem nowych miejsc pracy, czy zmianami związanymi z odejściem od energetyki konwencjonalnej nie wpisującej się w politykę niskoemisyjną.

Żeby te szanse wykorzystać jak najlepiej, musimy nie tylko wdrożyć efektywne zarzadzanie projektami, ale przede wszystkim zrozumieć skalę i stopień ich złożoności oraz fundamentalne zagrożenia, które się z tym wiążą.

Nie da się w jednym materiale zebrać absolutnie wszystkich zagadnień opisujących problematykę farm wiatrowych na morzu. Poruszając tylko kilka wybranych elementów, ale według nas dość istotnych z punktu widzenia ostatecznego sukcesu tych zamierzeń i wskazując potencjalne zagrożenia, szerzymy wiedze wierząc, że Bedzie ona efektywnie wykorzystana.

W czasie realizacji projektów na morzu zawsze pozostaje pewien element ryzyka ze nie uda się wykonać wszystkich założeń zgodnie z planem i budżetem. W przypadku morskich farm wiatrowych planowanych na polskim Bałtyku, ten czynnik przybiera na znaczeniu z kilku podstawowych powodów. Po pierwsze to będą nasze pierwsze farmy wiatrowe, w trakcie budowy, których zmierzymy się, nie tylko po raz pierwszy z całym procesem planowania, projektowania, budowy i uruchomienia całej inwestycji na offshorze, ale również, co bardzo prawdopodobne w wielu przypadkach z absolutnie najnowszą technologią dostępną na globalnym rynku. W tym ostatnim ryzyko przechodzenia "chorób wieku dziecięcego" jest więcej niż pewne a bycie inwestorem, który testuje technologie producenta jako pierwszy, otrzymując dane urządzenie z tzw. serial number one, wiąże się z dużą odwagą i ekspozycją na problemy w czasie uruchomienia I eksploatacji.

Patrząc na eskalację podobnych zamierzeń w skali globalnej, zapewne będą problemy po stronie produkcji największych komponentów takich jak fundamenty czy części łączące z elementami wież "transition pieces", których produkcja w Europie sprowadza się właściwie tylko do trzech lokalizacji. Łańcuch kumulujących się zamówień wymusi przesunięcia w harmonogramach projektów. Opóźnienia fabrykacji elementów wpłyną bezpośrednio na dostawę oraz instalacje. Przy tak dużych gabarytach, transporty lądowe dużych komponentów właściwie nie wchodzą w grę, pozostaje wiec tylko transport morski i kontraktowanie statków. Zmiany okien dostaw z powodu opóźnień na projektach, jak efekt domina będą przesuwać logistykę.

Podobne trudności będą się kumulować po stronie instalacyjnej. Jeśli armatorzy statków, a szczególnie statków do instalacji turbin, nie zdecydują się agresywniej rozbudować swojej floty, po roku 2025 będziemy mieli wąskie gardło i bardzo duże problemy z ich dostępnością w danym oknie kontraktowym.

Nie możemy nie wspomnieć o pogodzie, która zimą na kilka miesięcy może wykluczyć operacje, szczególnie Jack Upow, na Bałtyku. Nawet statki z napędem DP (Dynamic Positioning), pracują tylko do ścisłe ustalonej granicy wysokości fali czy siły wiatru.

Nie sposób tu opisać wszystkich przykładów ryzyk czy problemów, które mogą się pojawić. Zarysowując tylko ich skalę, czy wspominając kilka wybranych, należy bardzo starannie zastanowić się nad procedurą ich kontroli i potencjalnej minimalizacji. Absolutnie kluczowa w swoim znaczeniu staje się ponownie terminologia "odrobionej lekcji" i w tym przypadku naśladowanie innych jest jak najbardziej wskazane.

Maciej Olczak

Autor tekstu jest prezesem firmy Enmaro (www.enmaro.com) oraz ACC (www.asia-poland.com), międzynarodowym ekspertem w obszarze projektów offshore, w tym ropy i gazu.

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

10 grudnia 2021 - Warszawa – Polska **www.nowyswiat24.com.pl** Numer 11/2021

„Zielone źródła” nie gwarantują pewności dostaw energii w Europie, a Rosja zaciera ręce...

Ocieplenie klimatu czy chłodna rzeczywistość energetycznej transformacji? Opinia „Wall Street Journal”

W ubiegłym tygodniu europejscy przywódcy w ramach forum Organizacji Narodów Zjednoczonych postanowili podwoić swoje wysiłki w ograniczaniu emisji dwutlenku węgla. Premier Wielkiej Brytanii Boris Johnson powiedział, że jego kraj „będzie świecić przykładem, utrzymując środowisko w globalnej agendzie i służąc jako platforma startowa dla globalnej zielonej rewolucji przemysłowej”. W takich deklaracjach dostrzec można jednak niemałą ironię, biorąc pod uwagę fakt, że Europa zmaga się ze sporym niedoborem energii elektrycznej, a także wysokim wzrostem jej cen, który jest konsekwencją tej zielonej rewolucji przemysłowej.

Przez ostatnie dziesięć lat na Wyspach Brytyjskich oraz kontynentalnej Europie zamknięto setki elektrowni węglowych, a w Wielkiej Brytanii do dziś ostały się tylko dwie. Latem 2020 r. Hiszpania wyłączyła z użytku aż połowę tamtejszych elektrowni węglowych. Na odnawiane źródła energii kraje europejskie wydały biliony dolarów. W efekcie zielona energia na Starym Kontynencie po raz pierwszy w zeszłym roku prześcignęła paliwa kopalne w produkcji energii elektrycznej.

Pojawił się jednak pewien problem, gdyż odnawialne źródła energii nie są niezawodne, to znaczy nie mogą dostarczać prądu przez całą dobę, są też uzależnione od czynników atmosferycznych, jak np. siła wiatru, która w minione lato była w Europie poniżej średniej. Z tego powodu konieczne stało się sięgnięcie po węgiel i gaz ziemny, aby uzupełnić powstałe braki. Tymczasem popyt na paliwa kopalne wzrósł równolegle w Azji i Ameryce Południowej, gdzie elektrownie wodne z kolei zmagały się z suszą. Zresztą azjatyccy producenci wykorzystują obecnie więcej energii, by zaspokoić zachodni popyt na różne towary.

Odkąd w 2011 r. Japonia wyłączyła większość swoich elektrowni atomowych, w reakcji na katastrofę w Fukushimie, kraj ten stał się wyjątkowo zależny od importowanego skroplonego gazu ziemnego. Chiny z kolei wytworzyły tak duże zapotrzebowanie na energię w swoich hutach aluminium, że konieczne stało się jej racjonowanie. Przełożyło się to na wzrost cen aluminium na światowych rynkach.

Niedobory energii elektrycznej sprawiły, że cena węgla na międzynarodowym rynku potroiła się, a cena gazu ziemnego jest już pięć razy wyższa niż rok wcześniej. Na wzrost cen ma wpływ także europejski program „cap-and-trade”, który wymaga od producentów i dostawców energii wykupywania specjalnych kredytów węglowych, będących swoistym zrównoważeniem ekologicznych kosztów emisji CO_2. Ponieważ kredyty węglowe funkcjonują na otwartym rynku, podlegają też rynkowym zachowaniom, więc wyższe nimi zainteresowanie doprowadziło do wzrostu cen, zwłaszcza że rządowi regulatorzy postanowili zmniejszyć ich podaż.

Na kłopotach energetycznych Europy zyskuje Rosja, na razie zmniejszając dostawy rosyjskiego gazu, co może być formą nacisku na Niemcy, by te szybciej certyfikowały Nord Stream 2, gazociąg, który omija terytorium Ukrainy. Rosyjski Gazprom postanowił wysłać przez gazociąg jamalski jedynie jedną trzecią dostępnej zdolności przesyłowej i nie zapowiedział żadnych dodatkowych transferów. Tymczasem Europa jeszcze silniej uzależniła się od rosyjskiego gazu po tym, jak Niemcy i Wielka Brytania zakazały szczelinowania hydraulicznego, rezygnując tym samym ze swoich źródeł gazu łupkowego. Do tego Holandia zdecydowała się zamknąć największe pole gazowe w Europie.

W ostatnich tygodniach kilku detalicznych dostawców energii w Wielkiej Brytanii upadło właśnie przez rosnące ceny gazu. Przed podobną sytuacją w Niemczech ostrzegają tamtejsi eksperci. Ceny energii elektrycznej w Niemczech są jzielona-energiauż dwa razy wyższe niż w lutym tego roku, a kraj ten w dużej mierze uzależniony jest od odnawialnych źródeł.

Oprócz upadku dostawców detalicznych, w Wielkiej Brytanii pojawił się też kryzys wśród producentów stali, którzy zawiesili swoją działalność ze względu na rosnące ceny energii, a co za tym idzie – koszty produkcji. Były doradca rządu brytyjskiego ds. energii zapowiedział, że jeśli sytuacja się nie zmieni, to zimą Brytyjczyków może czekać trzydniowy tydzień pracy, sytuacja podobna do tej z 1974 r., kiedy strajk górników i kolejarzy zmusił rząd do racjonowania energii dla przedsiębiorstw i zakładów produkcji.

Ostrzeżenia od dawna wysyłało także Europejskie Stowarzyszenie Stali, które zauważyło, że kontynentalni producenci tracą globalną konkurencyjność. Problem pojawił się także wśród wykorzystujących gaz ziemny jako surowiec producentów nawozów. Norweska firma Yara International chce ograniczyć o 40 proc. swoje moce produkcyjne, jeśli chodzi o nawozy w Europie. Amerykańskie CF Industries, mające zakład produkcji nawozów w Anglii, wstrzymało jego działalność na początku września. Grozi to dalszymi problemami w branży przetwórczej, np. u producentów napojów gazowanych oraz piwa, którzy wykorzystują powstały przy produkcji nawozu dwutlenek węgla. Ten sam produkt uboczny nawozów wykorzystywany jest w ubojniach do ogłuszania zwierząt gospodarczych, a także w procesie pakowania próżniowego i produkcji suchego lodu umożliwiającego przechowywanie mrożonek. Alarm podniosła więc Brytyjska Federacja Żywności i Napojów, przewidując braki w łańcuchach dostaw.

Rząd brytyjski postanowił wesprzeć finansowo CF Industries, by uniknąć czarnego scenariusza. O rządowe dotacje zwracają się także europejscy producenci metali. Mamy jednak przed sobą zimę, kiedy popyt na energię rośnie, więc możemy się spodziewać więcej bailoutów. Problemy energetyczne nie rozwiążą się same, a w kolejnych latach możemy raczej spodziewać się ich wzrostu, jeśli europejscy przywódcy nadal naciskać będą na zmniejszenie emisji CO_2.

Oprócz Rosjan na sytuacji w Europie zyskują także Amerykanie, a dokładnie tamtejsi producenci gazu i węgla. Jednak i w Stanach Zjednoczonych możemy zaobserwować wzrost cen, ponieważ gonią one wysokie ceny eksportowanej energii, a produkcja energii w USA nie osiągnęła jeszcze poziomu sprzed pandemii. W efekcie ceny gazu ziemnego w Stanach Zjednoczonych podwoiły się, a niektóre elektrownie węglowe zmagają się z problemem braku węgla.

Jeśli administracja Bidena będzie dalej dążyła do zrezygnowania z paliw kopalnych i zasilania Ameryki ze źródeł odnawialnych, czeka ją najprawdopodobniej taki sam los jak Europę. Demokraci bowiem nie są w stanie wyeliminować zapotrzebowania na paliwa kopalne, odnawialne źródła energii nie pokryją całego zapotrzebowania tego ogromnego państwa. Kto wie, czy wtedy USA nie stanie się zależne od rosyjskiego gazu.

źródło: The Wall Street Journal

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

10 grudnia 2021 - Warszawa – Polska **www.nowyswiat24.com.pl** Numer 11/2021

Ceny energii – jest drogo. Będzie jeszcze drożej…

Transformacja energetyczna ma też swoje koszty – ujawnia „El Economista”

Większość rozwiniętych krajów obiera dziś za priorytet zbudowanie nowego modelu gospodarczego i energetycznego. Nowy system energetyczny, u którego podstaw mają leżeć odnawialne źródła energii, ma dać wiele korzyści: złagodzenie klimatu, zmniejszenie zanieczyszczeń, nawet niezależność energetyczną. Mniej się mówi o tym, że za transformacją energetyczną stoją także wysokie koszty (rozumiane przede wszystkim ekonomicznie) i potencjalne nierówności.

Ostatnio zwrócił na to uwagę Patrick Artus, jeden z najważniejszych ekonomistów francuskiego banku inwestycyjnego Natixis. Zauważył, że jest wiele powodów, przez które zachodząca transformacja energetyczna może negatywnie wpłynąć na społeczeństwa i biznesy.

Niektóre problemy uwidoczniły się w 2021 r. Przez to, że rządy państw rozwiniętych wywierają presję na przemysł ropy i gazu, zmieniła się reakcja tego sektora na rosnące ceny. Do niedawna wyższe ceny ropy i gazu przekładały się na rozpoczęcie przez koncerny naftowe nowego cyklu inwestycyjnego – zwiększenie mocy produkcyjnych przekładało się na łagodzenie cen. Teraz jednak koncerny czekają albo próbują zdywersyfikować działalność w obawie przed dalszym naciskiem na paliwa kopalne. Konsekwencje, których doświadczamy, to wyższe ceny ropy i gazu, destabilizacja cen prądu, a także zwiększająca się zależność energetyczna od OPEC i Rosji – tradycyjnych producentów ropy i gazu.

„Nature” przeprowadziło badanie, z którego wynika, że zredukowanie emisji dwutlenku węgla do atmosfery o 95 proc. obecnej wartości w samych Stanach Zjednoczonych kosztowałoby każdego Amerykanina 11 tys. dolarów rocznie!

Ekonomista Patrick Artus w październiku opublikował tekst, w którym zajął się analizą krótkoterminowego ryzyka wynikającego z transformacji energetycznej. Podobnie Światowe Forum Ekonomiczne (WEF) i inne instytucje zwróciły uwagę, że według raportów optymizm dotyczący transformacji energetycznej jest przedwczesny i powinniśmy zwrócić uwagę na zagrożenia. Nie wiadomo, jaki będzie wpływ tych przeobrażeń w dalekiej perspektywie, ale przejście na odnawialne źródła energii z pewnością wygeneruje koszty, o których powinniśmy pomyśleć już teraz.

Utrata kapitału

Przemysł przez całe dziesięciolecia pracował nad tym, by stworzyć lepsze, bardziej wydajne komponenty czy silniki. Zwykle wykorzystywały one benzynę, olej napędowy czy gaz jako źródło energii. Mówimy tu o inwestycjach wartych wiele milionów – zarówno na badania, jak i maszyny do produkcji itp. Przejście na nowy model oznaczałoby utratę tych inwestycji.

„Transformacja energetyczna wiąże się z bezpośrednim zniszczeniem kapitału, który staje się bezużyteczny dla niektórych branż, takich jak przemysł samochodowy. Zniszczenie kapitału jest bardzo bolesne: w krótkim okresie następuje zmniejszenie potencjalnego PKB i utrata oszczędności, które zostały wykorzystane do zbudowania tego kapitału” – tłumaczy Patrick Artus.

Koszty energii i nierówność

Światowe Forum Ekonomiczne przyznało, że „transformacja energetyczna nie obędzie się bez kosztów”. Składają się na nie między innymi podatki węglowe, eliminacja dotacji do paliw kopalnych czy podatki od rachunków za energię elektryczną, które w konsekwencji mogą zwiększyć koszty energii elektrycznej i paliw. A to z kolei odbije się zarówno na firmach, jak i konsumentach, bo dziś wszyscy potrzebujemy prądu do pracy i normalnego funkcjonowania.

Zdaniem eksperta z Natixis „przejście na odnawialne źródła energii nieuchronnie doprowadzi do znacznego wzrostu cen energii ze względu na nieciągły charakter produkcji energii odnawialnej, który powoduje konieczność stworzenia mocy produkcyjnych znacznie przekraczających zapotrzebowanie na energię elektryczną oraz magazynowania energii elektrycznej tam, gdzie to możliwe, co niewątpliwie będzie kosztowne. Ten znaczący wzrost cen energii spowoduje wzrost nierówności dochodowych, jeśli jego skutki nie zostaną skorygowane, ponieważ ciężar zużycia energii jest większy dla gospodarstw domowych o niższych dochodach”.

Strukturalny wzrost bezrobocia

Artus stwierdza dobitnie: „Transformacja energetyczna doprowadzi do zmiany sektorowej struktury zatrudnienia, co generuje ryzyko wzrostu bezrobocia strukturalnego”. Powinniśmy się więc zastanowić, czy obecne systemy kształcenia i szkolenia są na tyle wydolne, by przekwalifikować miliony osób, które do tej pory pracowały w starych sektorach energetycznych, aby stały się one przydatne także przy produkcji zielonej energii. Należy przy tym mieć na uwadze, że pracownicy sektora zielonej energii muszą mieć zupełnie inne kwalifikacje, zupełnie inne umiejętności niż przy tradycyjnych źródłach pozyskiwania energii, nie jest to więc przekwalifikowanie łatwe i szybkie.

Tu znów pojawiają się nierówności zarówno między krajami, jak i sektorami, bo jak ostrzega Światowe Forum Ekonomiczne, „Chociaż szacuje się, że do 2050 r. dzięki energii odnawialnej można zatrudnić w sektorze energetycznym ponad 100 mln osób, korzyści te nie są równomiernie rozłożone. W rezultacie stracą na tym niektóre kraje i społeczności, zwłaszcza te silnie uzależnione od paliw kopalnych”.

Zwiększenie zależności

Jako argument na rzecz transformacji energetycznej podaje się bardzo często zmniejszenie zależności energetycznej od krajów trzecich, z których dziś importuje się energię, na przykład od Rosji. Tymczasem trzeba też wspomnieć, że transformacja nie znosi tych zależności, a jedynie przenosi je potencjalnie na inne kraje. Warto wspomnieć, że na rynku towarów związanych z odnawialną energią prym wiodą Chiny, które są między innymi największym producentem paneli słonecznych na świecie. Artus przestrzega więc: „Należy zapobiec sytuacji, w której Chiny będą miały ogromny udział w produkcji tych towarów. Ryzyko jest realne, ponieważ rynek ten jest atrakcyjny pod względem kosztów produkcji i korzyści skali”.

Duża niepewność co do skutków podejmowanych decyzji

Świat wokół nas zmienia się nieustannie. Ale do tej pory kierunek tych zmian dyktowany był nowymi technologiami, materiałami czy ideami, które okazywały się lepsze i wypierały dotychczasowe. Był to proces, powiedzmy, naturalny (choć dotyczył techniki). Tymczasem przemiana energetyczna zachodzi sztucznie, jest wprowadzana nie ze względu na jej konkurencyjność, ale przez dotacje i regulacje. Nie mamy pewności co do tego, że energia odnawialna będzie lepsza, a przynajmniej, że zwiększy efektywność naszych gospodarek. „Jednym z przykładów jest przemysł samochodowy w Europie. Od 2035 r. będzie mógł sprzedawać wyłącznie samochody elektryczne. Jedyną dostępną obecnie technologią jest bateria litowo-jonowa, dlatego dokonuje się w nią ogromnych inwestycji. Nie ma jednak pewności, że ta technologia będzie wykorzystywana lub dominująca w dłuższej perspektywie, więc niektóre z tych dużych inwestycji mogą przepaść” – ostrzega Artus.

Wzrost cen niektórych surowców

Panele słoneczne, silniki elektryczne, baterie i turbiny wiatrowe, które są powszechnie używane w transformacji energetycznej, zwiększają zapotrzebowanie na surowce wykorzystywane przy ich produkcji. Nie jest pewne, czy to rosnące zapotrzebowanie uda się pokryć ani jaki wpływ na środowisko będzie miało zwiększenie wydobycia surowców, czy produkcji pewnych materiałów przy masowej skali.

„Poważnym kosztem transformacji energetycznej może być gwałtowny wzrost cen podstawowych surowców potrzebnych do transformacji energetycznej (dla sieci elektrycznych, baterii elektrycznych itd.): produkcja miedzi, litu, niklu, kobaltu, metali ziem rzadkich itp. może być niewystarczająca do zaspokojenia popytu” – zauważa Artus.

Podobne zastrzeżenia znajdziemy w raporcie Światowego Forum Ekonomicznego. Wynika z niego, że wzrost produkcji takich minerałów jak grafit, kobalt czy lit musiałby sięgnąć 500 proc. do roku 2050, żeby zaspokoić rosnące zapotrzebowanie rynku czystej energii. Przy tym należy zaznaczyć, że większość wspomnianych surowców pochodzi z krajów rozwijających się, które przynajmniej w części nie zważają na środowiskowe i społeczne koszty wydobycia. „Wyścig o pozyskanie tych minerałów doprowadził do wysokiej koncentracji zasobów w rękach kilku krajów, zwiększając potencjalne ryzyko dla terminowych dostaw” – twierdzą eksperci Światowego Forum Ekonomicznego.

źródło: El Economista

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

10 grudnia 2021 - Warszawa – Polska **www.nowyswiat24.com.pl** Numer 11/2021

Unia Europejska kosztownie ogranicza CO2 a USA i Chiny trują na potęgę

Nikt nie wie, jak osiągnąć zerową emisję CO2 netto w 2050 r. – zauważa „Le Point”

Wśród naczelnych kwestii poruszanych przed kampanią prezydencką we Francji ekologia zajmuje istotne miejsce. Główny problem stanowi konieczność jak największego ograniczenia emisji CO2 do atmosfery, na co wskazuje m.in. raport IPCC (Międzynarodowy Zespół ds. Zmian Klimatu). W wywiadzie dla serwisu Le Point temat ten podjął Christian Gollier, dyrektor Szkoły Ekonomicznej w Tuluzie, a równocześnie specjalista w dziedzinie ekonomii klimatu.

FOTO: TWITTER

Le Point: Co Pan sądzi o najnowszym raporcie IPCC?

Christian Gollier: Raport pokazuje, że nie zmniejszyliśmy emisji CO2 od 30 lat, zaś w 2019 r. wyemitowaliśmy najwięcej CO2 w historii! Na widok zbliżającej się ściany zamiast hamulca wciskamy pedał gazu. Będzie trzeba bardzo się postarać, aby osiągnąć zerowy poziom emisji CO2 netto w latach 2050-2070.

Celem Europy jest osiągnięcie neutralności pod względem emisji dwutlenku węgla do 2050 roku. Czy da się to zrealizować bez zbytniego wpływania na poziom życia ludzi?

Europa to jedyny region na świecie, w którym ograniczono znacząco emisję CO2 od 1990 r. W tym czasie nastąpił spadek o 21-22 proc., gdy tymczasem reszta świata, zwłaszcza Stany Zjednoczone, Chiny i kraje rozwijające się zwiększyły emisję.

Czy jest to związane z europejską deindustrializacją?

Owszem, jednak nie jest to główny powód. W skali światowej Europa przoduje, jeśli chodzi o ograniczenie emisji CO2 w sektorze energii elektrycznej. Odpowiada on za jedną czwartą do jednej trzeciej emisji dwutlenku węgla. W sektorze budowlanym emisje utrzymują się na tym samym poziomie od 10 lat. Unia Europejska obiecała do zeszłego roku ograniczyć swoje emisje o 40 proc. w porównaniu do roku 1990 i wyznaczyła sobie jeszcze ambitniejszy cel redukcji emisji o 55 proc. do 2030 r. Wiemy, jak to osiągnąć, ale nie będzie to łatwe zadanie. Należy zwiększyć udział w transporcie pojazdów elektrycznych oraz przeprowadzać więcej termomodernizacji. Ważne są również inwestycje w izolację budynków publicznych, fotowoltaikę i elektrownie wiatrowe. W tym ostatnim przypadku trzeba postawić na znacznie szybszy rozwój niż przez ostatnie 10 lat. Jednak zarówno energia wiatrowa, jak i jądrowa czy biogaz spotykają się z dużym oporem niektórych środowisk politycznych.

Czy potem będzie jeszcze trudniej?

Tak. Nie wiemy, jak osiągnąć zerowy poziom emisji netto w 2050 r. oraz jak będzie wyglądała zdekarbonizowana Europa. Koniecznością będzie zelektryfikowanie większości sektorów, jak transport, mieszkalnictwo i przemysł, co będzie wymagało od nas wytwarzania większej ilości energii elektrycznej, niż obecnie. Jednak ograniczając energię jądrową, przy równoczesnym zwiększeniu tej pochodzącej od słońca i wiatru możemy spotkać się z niecią-głością zasilania, gdy tych dwóch źródeł zabraknie. Oznacza to bowiem produkowanie niewiarygodnych ilości baterii. Korzystanie z wodoru również jest ryzykowne. Redukcja emisji o 55, 60, a może nawet 70 proc. jest możliwa, jednak próba pozbycia się pozostałych 30 proc. będzie bardzo kosztowna, jeżeli nie usuniemy pewnych barier technologicznych. To stwarza pytanie o wiarygodność tego celu.

Przykładowo we Francji podatek od emisji CO2 wynosi 44 euro za tonę. Przy zerowej emisji netto byłoby to aż 750 euro za tonę, nawet przy optymistycznych założeniach odnośnie do postępu technologicznego. A przecież przy zaledwie kilkucentowym wzroście cen paliwa wywołanym podatkiem węglowym rozpoczęły się protesty „Żółtych Kamizelek”.

Czy nie jest tak, że Europa stawia sobie zbyt ambitne cele w zakresie redukcji emisji gazów i są one niewłaściwie rozdzielone w skali globalnej?

Moim zdaniem politycy są od wyznaczania kierunku, równocześnie jednak istnieje kwestia akceptacji społecznej. COP21 w Paryżu pokazało, że zobowiązania większości krajów świata są o wiele słabsze, niż w Europie. Kraje bogate w węglowodory, jak Rosja, Arabia Saudyjska, Wenezuela i Brazylia niczego nie zadeklarowały, Chiny obiecały zmniejszenie emisji w 2030 r., jednak bez określenia, jaki poziom osiągną! Obecnie cena węgla w Europie wynosi 60 euro za tonę na europejskim rynku pozwoleń na emisję CO2, które producenci muszą kupić, aby mieć prawo do emisji. W Chinach jest to... dwa euro. Każde państwo ma pokusę, aby nic nie robić, licząc na to, że inni podejmą za nie wysiłek. Jednak nawet jeśli już dziś poważnie podejdziemy do sprawy, to w 2050 r. efekty będą prawie niezauważalne.

Czy zatem cel zerowych emisji netto jest nierealistyczny?

Wszystko zależy od tego, czy politycy są w stanie przejść od słów do czynów. Trzeba będzie obserwować stanowiska poszczególnych państw członkowskich w odniesieniu do ambitnych propozycji Komisji Europejskiej „Fit for 55” przedstawionych 14 lipca. Przeciwna jest temu nawet Francja, mimo wprowadzenia podatku węglowego w sektorze transportu i mieszkalnictwa. Politycy obawiają się protestów „Żółtych Kamizelek”!

Czy bez tych środków w pakiecie ogłoszonym przez Komisję, Europa nie ma szans na osiągnięcie swoich celów klimatycznych?

Państwa sprzeciwiające się wprowadzeniu cen uprawnień do emisji dwutlenku węgla w tych dwóch strategicznych sektorach, w których emisje nie spadły, powinny przedstawić wiarygodne kontrpropozycje, które pozwolą im osiągnąć identyczny rezultat. Lub przyjąć, że ten cel jest nieosiągalny. Niestety wiele krajów będzie temu przeciwne, choć nie zaproponuje alternatyw. Tego typu demagogia prowadzi niestety do utraty wiarygodności polityków i kryzysów w demokracji. Aby do tego nie doszło, stanowisko Francji powinno być dokładnie przemyślane.

Czy masowe inwestycje publiczne pozwolą nam ograniczyć emisje?

Jesteśmy obecnie w okresie przejściowym, który radykalnie zmieni nasz styl życia. Przekonanie, że samo państwo poradzi sobie z inwestycjami, które ograniczą emisję CO2, jest nierealistyczne. Francja prowadziła bardzo kosztowną politykę klimatyczną przez ostatnie 20 lat. Przykładowo w 2010 r. właściciele paneli słonecznych otrzymywali od państwa ceny gwarantowane dziesięciokrotnie wyższe od kosztów produkcji energii elektrycznej. Uniknięcie emisji 1 tony dwutlenku węgla kosztowało w tym przypadku od 1000 do 1500 euro! Dla porównania wycofanie węgla z europejskiego koszyka energetycznego to w tym przypadku zaledwie około 30 euro.

Dlaczego nie wykorzystać inwestycji publicznych i emisji pieniędzy do sfinansowania inwestycji niezbędnych do ograniczenia wytwarzania CO2?

Faktycznie stopy procentowe są niskie i to mógłby być dobry pomysł, zwłaszcza w kontekście przyszłych pokoleń. Taki dług miałby uzasadnienie. Zasada deficytu w wysokości 3 proc. służy utrzymaniu wiarygodności europejskiej polityki publicznej, jednak może on zostać złagodzony w przypadku inwestycji w odnawialne źródła energii, wodór, baterie itp. Plan inwestycyjny na rzecz transformacji ekologicznej, ogłoszony przez Emmanuela Macrona w lipcu, będzie musiał skupić się na innowacjach niezbędnych do usunięcia głównych barier technologicznych, takich jak magazynowanie energii odnawialnej, wychwytywanie CO2, samoloty przyszłości czy energia jądrowa czwartej generacji. Ryzyko jest duże, lecz pozytywne skutki dla społeczeństwa w przypadku sukcesu także będą znaczące. Jednak uciekanie się do produkcji pieniędzy nie jest dobrym rozwiązaniem, spowodowałoby bowiem ogromną inflację.

Dlaczego uważa Pan, że wprowadzenie ceny za emisję dwutlenku węgla w formie podatku lub rynku praw do emisji zanieczyszczeń, jest najlepszym rozwiązaniem dla ograniczenia emisji gazów cieplarnianych?

Można podjąć mnóstwo działań w celu ograniczenia emisji, ale musi to się odbyć przy jak najmniejszym uszczerbku dla siły nabywczej.

Ciąg dalszy na stronie 12

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

10 grudnia 2021 - Warszawa – Polska **www.nowyswiat24.com.pl** Numer 11/2021

Unia Europejska kosztownie ogranicza CO2 a USA i Chiny trują na potęgę

- ciąg dalsze ze strony 12

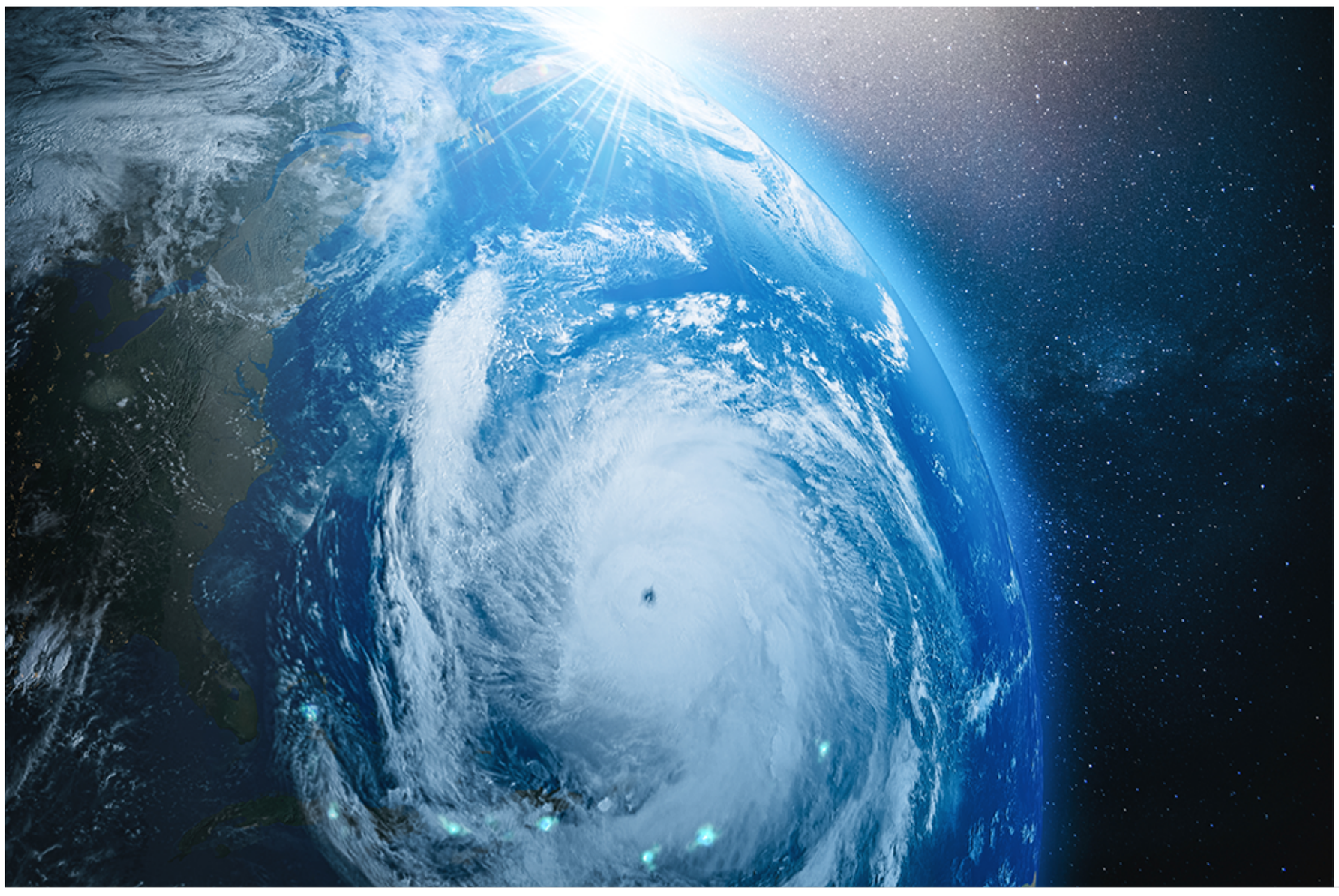

To osoby wytwarzające CO2 płacą za szkody spowodowane przez swoje emisje. Zdecydują się więc na inwestycje ekologiczne, takie jak zakup samochodu elektrycznego, ocieplenie domu lub instalacja pompy ciepła, dzięki czemu unikną płacenia za zanieczyszczenie środowiska. Przy ustanowieniu ceny za emisję CO2 nie będzie trzeba marnować wydatków publicznych przy ograniczonych korzyściach ekologicznych. Zobowiązania państwa w zakresie cen gwarantowanych energii słonecznej i wiatrowej kosztują francuskich konsumentów 10 mld euro rocznie, a to więcej niż całkowity dochód z podatku węglowego! Ustalanie cen emisji pozwala na ocenę kosztów polityki klimatycznej i decentralizację podejmowanych w tej sprawie decyzji. Ustalenie cen emisji CO2 to także duży dochód dla państwa, który można wykorzystać do polityki redystrybucyjnej na rzecz najuboższych gospodarstw domowych.

To rozwiązanie częściowo już wprowadzono poprzez rozszerzenie bonów energetycznych dla gospodarstw domowych znajdujących się w trudnej sytuacji. Polityka cen emisji dwutlenku węgla jest często krytykowana przez media, jednak każda polityka klimatyczna prowadzi do wzrostu cen energii, zwłaszcza w przypadku gospodarstw domowych o niskich dochodach. Jedynie opłaty za emisję CO2 pozwalają na redystrybucję generowanych dochodów dla potrzebujących.

A jak odnosicie się do propozycji Thomasa Piketty'ego, aby przydzielić kartę węglową ograniczającą roczną ilość gazów cieplarnianych, jakie każdy obywatel mógłby emitować i powyżej której opodatkowanie znacząco by wzrastało?

Przydzielenie 5 ton CO2 rocznie na osobę i pozostawienie możliwości handlu tymi zezwoleniami na rynku nie stanowi problemu. Odbyłoby się to z korzyścią dla mniejszych gospodarstw domowych, które średnio emitują mniej niż 5 ton na osobę. Propozycja Piketty'ego zakazuje wykupu kwot brakujących podmiotom emitującym większe ilości, pomimo że w ogólnym rozrachunku nic by się nie zmieniło.

Wysokie ceny emisji CO2 na granicach wymagają też wprowadzenie tam podatku węglowego, co jest związane z ryzykiem ucieczki emisji do innych krajów przez przenoszenie działalności powodującej zanieczyszczenie. Do niedawna cena dwutlenku węgla dla przemysłu i produkcji energii elektrycznej wahała się między 5 a 20 euro, co już doprowadziło do pewnych ucieczek emisji, a przecież obecnie mówimy o osiągnięciu w tych sektorach ceny węgla w wysokości 250 euro za tonę w 2030 r.! Taka sytuacja może spowodować masowy dumping środowiskowy. Podatek pozwoliłby na zapobieżenie tej ewentualności. Najprawdopodobniej wywoła to nieprzychylną reakcję ze strony naszych partnerów biznesowych np. Stanów Zjednoczonych, które wciąż mają największą emisję CO2 na mieszkańca (około 20 ton w porównaniu z 7 tonami w Europie). Plan administracji Joe Bidena zmniejszenia emisji opiera się na badaniach i rozwoju, a więc stworzeniu technologii, która zmniejszy koszty emisji. Wprowadzenie cen emisji nie wchodzi w rachubę. Jaki więc Europa powinna zastosować mechanizm dostosowania granic w tym przypadku? Nie posiadamy przecież wystarczającej siły politycznej, aby narzucić nasze pomysły reszcie świata bez reakcji w postaci odwetu handlowego.

Czy rozwiązaniem problemu zmian klimatycznych nie jest założenie upadku gospodarczego?

Noémie Klein broni powrotu do poziomu życia z lat 70., a więc zmniejszenie o połowę naszego poziomu konsumpcji. Jest to jednak społecznie nie do przyjęcia. Cena emisji dwutlenku węgla jest strategią „post wzrostową", lecz skoncentrowaną na rynkach emitujących najwięcej CO2.

W rzeczywistości chce pan zdekarbonizować wzrost gospodarczy...

Europa pokazała, że jest to możliwe – od 1990 r. siła nabywcza gospodarstw domowych stale rośnie, podczas gdy nasze emisje spadają. Najwięcej zainteresowania w mediach budzą techno-optymiści uważający, że uratuje nas technologia. Przewidują, że będziemy w stanie produkować bezemisyjną energię elektryczną tańszą niż koszt wydobycia paliw kopalnych. Oczywiście nie jest to niemożliwe, ale zanim to nastąpi, nie możemy sobie pozwolić na bezczynność.

Dlaczego był Pan sceptyczny wobec zwołanej przez Emmanuela Macrona propozycji Obywatelskiej Konwencji Klimatycznej?

Lista proponowanych środków obejmowała zarówno bardzo dobre, jak i wątpliwe czy wręcz demagogiczne pomysły. Pominięto tak istotne kwestie, jak energetyka jądrowa, baterie czy wodór. Spośród 149 propozycji nie przeprowadzono żadnej poważnej oceny wpływu i kosztów. Konwent obywatelski odmówił uwzględnienia wartości węgla. Nie rozumiem też, czemu nie przeprowadzono debaty na temat energii jądrowej.

Jak postrzega Pan tego typu debatę?

Elektryfikacja wielu sektorów gospodarki, takich jak transport i mieszkalnictwo, pociąga za sobą nieunikniony wzrost zapotrzebowania na energię elektryczną. W tym wypadku inwestowanie w energię jądrową pozwoli na równoważenie rynku elektryczności, jeśli weźmiemy pod uwagę nieregularność dostaw energii wiatrowej i słonecznej oraz brak realnych możliwości w magazynowaniu energii elektrycznej. Moim zdaniem ryzykowne jest dążenie do dekarbonizacji przy równoczesnej rezygnacji z energii jądrowej. Porównanie ilości zgonów po Czarnobylu, z ich liczbą spowodowaną przez przemysł węglowy w Chinach i Polsce wypada na korzyść atomu. Trzeba przeprowadzić rozsądną analizę kosztów i korzyści wynikających ze stosowania energii jądrowej, oszacować ryzyko wypadków przy wytwarzaniu elektryczności różnymi metodami, a także wziąć pod uwagę kwestię składowania odpadów. Ten ostatni problem jest na dobrej drodze do rozwiązania dzięki powstaniu składowiska Bure. Koszty składowania wynoszące 25 mld euro wbrew pozorom nie są wysokie, a w przeliczeniu daje to zaledwie 0,1 centa na kWh energii elektrycznej wyprodukowanej od początku istnienia francuskiej energetyki jądrowej. Także odnośnie do energii wiatrowej trzeba obliczyć koszty negatywnego wpływu na krajobraz, zwłaszcza w gęsto zaludnionych obszarach czy spowodowany tym spadek wartości domów.

Jak ocenia Pan politykę Emmanuela Macrona w zakresie transformacji klimatycznej?

Pomimo żywiołowych protestów „Żółtych Kamizelek" zdołał utrzymać zasadę podatku węglowego, mimo że zamroził jego wysokość. Doceniam też jego próbę podjęcia publicznej dyskusji i wypracowania kompromisów m.in. poprzez Konwent Obywatelski, mimo nikłych rezultatów. W świecie, w którym dominuje utopia szczęśliwej transformacji ekologicznej, przywódcom często trudno jest promować realistyczne rozwiązania. A tymczasem będziemy musieli podjąć wspólny wysiłek, jeżeli chcemy sprostać naszym obowiązkom wobec przyszłych pokoleń.

źródło: Le Point

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

10 grudnia 2021 - Warszawa – Polska **www.nowyswiat24.com.pl** Numer 11/2021

Usytuowanie prawa krajowego względem

Polski Trybunał Konstytucyjny nie jest pierwszym, który uznał wyższość Konstytucji – komentarz Jean-Érica

Polski Trybunał Konstytucyjny uznał część artykułów Traktatu o Unii Europejskiej za niekonstytucyjne. Francuski Sąd Najwyższy ma podobne zdanie, ale to decyzja polskiego Trybunału budzi największe kontrowersje. Skąd się one biorą – wyjaśnił Jean-Éric Schoettl, były sekretarz generalny francuskiej Rady Konstytucyjnej w latach 1997-2007.

Chodzi o orzeczenie polskiego Trybunału Konstytucyjnego z 7 października 2021 r. Rozstrzygało ono, że dwa artykuły Traktatu o Unii Europejskiej, art. 1 (o „coraz ściślejszej unii narodów Europy") oraz art. 19 (o Trybunale Sprawiedliwości Unii Europejskiej), są niezgodne z polską Konstytucją, ponieważ dopuszczają nadrzędność europejskiego prawa nad polskim. Orzeczenie nie miało na celu potępiać sam Traktat i jego funkcję, a jedynie ten zakres artykułów, który dopuszcza wyższość europejskiego prawa nad krajowym. Naruszało to zresztą powszechną zasadę absolutnego pierwszeństwa, którą wywodzi się z wyroku Trybunału Sprawiedliwości Wspólnot Europejskich (dziś Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej) z dnia 15 lipca 1964 r. w sprawie Costa przeciwko Enel: „Prawo traktatowe, ze względu na swój pierwotny charakter, nie może być sądownie przeciwstawiane żadnemu tekstowi krajowemu".

Należy zwrócić uwagę na ważne rozróżnienie. Polski Trybunał Konstytucyjny nie uznał Traktatu o Unii Europejskiej za niezgodny z Konstytucją RP. Nawet artykuły 1 i 19 nie zostały uznane w całości za niezgodne z konstytucją. Gdyby tak się stało, moglibyśmy mówić o jurydycznym Polexicie. Ale orzeczenie z 7 października mówi tylko o konkretnym zakresie dwóch wspomnianych artykułów – o ingerencji instytucji europejskich (w tym szczególnie TSUE) w obszary suwerenności, czyli na przykład organizację wymiaru sprawiedliwości. To, co było celem polskiego Trybunału Konstytucyjnego, to zwrócenie uwagi na fakt, że Konstytucja RP nie przewiduje możliwości zrzeczenia się suwerenności na obszarach, w które ingerują artykuły.

Tymczasem Komisja Europejska bardzo negatywnie przyjęła orzeczenie polskiego Trybunału. 8 października wystosowała komunikat, w którym podkreśliła, że nadrzędność europejskiego prawa nad wszelkimi zapisami krajowymi (nawet konstytucyjnymi) jest podstawą Unii Europejskiej.

Za swoją postawę Polsce grożą finansowe konsekwencje, w tym brak dostępu do środków z europejskiego planu odbudowy po pandemii koronawirusa, czyli 23 mld euro. Oznacza to jednak, że za takie, a nie inne orzeczenie Trybunału zapłacą wszyscy Polacy, a kraj może popaść w ekonomiczne tarapaty, co z pewnością nie będzie sprzyjać porozumieniu między narodami, które było nadrzędnym celem omawianego Traktatu (i wszystkich pozostałych).

Można oczywiście spotkać się z opinią, że Polska wiedziała, co robi, na co się godzi, wstępując do Unii Europejskiej. To prawda, ale zauważmy, że traktaty UE, które podpisała także Polska, nie zawierały konkretnych postanowień czy przepisów w kwestiach społecznych, takich jak aborcja, zmiana płci czy małżeństwa osób homoseksualnych. Nie było w nich też wskazania statusu sędziów krajów członkowskich. Dziś zwolennicy narzucania rozwiązań w tym zakresie mówią, że znalazły się „w pakiecie" traktatowym, ale to nieprawda. Irlandia na przykład, będąc w Unii, przez długi czas nie uznawała nawet rozwodów, a co dopiero aborcji, a mimo to nie była przedmiotem krytyki europejskich władz.

W opinii publicznej pojawiały się twierdzenia, że orzeczenie polskiego Trybunału Konstytucyjnego jest prowokacją, która nie miała jeszcze miejsca w Unii. Że to bezprecedensowy atak na unijne struktury. To oczywiście nieprawda, bo podobne zastrzeżenia zgłaszał już niemiecki Trybunał Konstytucyjny oraz francuski Sąd Najwyższy.

W przypadku Niemiec sąd w Karlsruhe 5 maja 2020 r. dezawuował działania Europejskiego Banku Centralnego w kontekście luzowania ilościowego, a także ich zatwierdzenie przez Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Verfassungsgericht uznał wtedy, że zapisy traktatów powinny być interpretowane zgodnie z wolą ludzi, którzy je ratyfikowali. Sąd niemiecki dał pierwszeństwo zasadzie demokracji zapisanej w Grundgesetz (niemieckiej Ustawie Zasadniczej), a zatem uznaje nadrzędność prawa niemieckiego nad europejskim. Inaczej niż orzekana przez Europejski Trybunał Sprawiedliwości zasada wyższości prawa unijnego, która pojawiła się też w bardzo zawiłej deklaracji załączonej do Traktatu Lizbońskiego (było to zresztą konsekwencją negatywnych wyników referendów we Francji i Holandii w 2005 r.).

Ale niemieckie orzeczenie z 2020 r. to tylko następstwo wielu orzeczeń Trybunału w Karlsruhe, które wskazywały, że to państwa członkowskie są siedzibą władz demokratycznych. 30 czerwca 2009 r. niemiecki Trybunał Konstytucyjny podjął decyzję w sprawie Traktatu Lizbońskiego, by ograniczyć coraz większe zapędy Unii w ingerencję, w suwerenność państw członkowskich.

We Francji sprawa wyglądała poważnie. We francuskim systemie prawnym istnieją trzy sądy najwyższe i orzekły one, że suwerenność narodowa może być ograniczana przez prawo europejskie, ale tylko w zakresie przewidzianym konstytucją. Ingerencje te nie mogą jednak podważać tożsamości konstytucyjnej Francji, w której sądy upatrywały się zresztą granicy wynikających z samych zapisów traktatowych (art. 4 § 2: „Unia szanuje równość Państw Członkowskich wobec Traktatów, jak również ich tożsamość narodową, nierozerwalnie związaną z ich podstawowymi strukturami politycznymi i konstytucyjnymi").

Postawa ta została potwierdzona w wyroku w sprawie zgromadzenia Sarran i Levacher z 30 października 1998 r., w którym zaznaczono, że francuska Konstytucja ma wyższą rangę niż zobowiązania międzynarodowe: „Nadrzędność przyznana przez art. 55 Konstytucji zobowiązaniom międzynarodowym nie ma zastosowania w porządku krajowym do przepisów o charakterze konstytucyjnym". Także w 2000 r. francuski Sąd Kasacyjny musiał przedstawić stanowisko w sprawie istotności prawa krajowego i traktatowego (dokładniej Międzynarodowego Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych oraz Europejskiej Konwencji o Ochronie Praw Człowieka i Podstawowych Wolności). Zauważył wtedy, że choć art. 55 Konstytucji dopuszcza nadrzędność zobowiązań międzynarodowych nad ustawami, to nie ma on zastosowania w krajowym porządku prawnym do przepisów o charakterze konstytucyjnym.

Przytoczone wyroki francuskich sądów pokazują wyraźnie, że dla Francji Konstytucja ma w prawie wewnętrznym (tj. przed sądami krajowymi) wyższą wartość prawną niż traktaty. I to bez względu na to, że w ramach samej Konstytucji istnieje możliwość ograniczenia suwerenności. To ograniczanie musi bowiem odbywać się w obrębie określonych granic, a poza nimi traktowane jest jako naruszenie francuskiej tożsamości konstytucyjnej.

unijnego

Schoettla dla „Le Figaro”

Chodzi konkretnie o artykuł 88-1 Konstytucji Francji, który mówi, że „Republika uczestniczy w Unii Europejskiej złożonej z państw, które swobodnie postanowiły wykonywać niektóre ze swych kompetencji wspólnie na mocy Traktatu o Unii Europejskiej i Traktatu o funkcjonowaniu Unii Europejskiej”. Co za tym idzie, francuska Rada Konstytucyjna uznała, że Zgromadzenie Konstytucyjne „ustanowiło w ten sposób istnienie wspólnotowego porządku prawnego, zintegrowanego z wewnętrznym porządkiem prawnym i odrębnego od międzynarodowego porządku prawnego”. W czerwcu 2004 r. Trybunał orzekł, że „transpozycja dyrektywy wspólnotowej do prawa krajowego jest wymogiem konstytucyjnym”. Jednocześnie jednak zastrzegł, że prawo europejskie nie może być sprzeczne z zasadą „nierozerwalnie związaną z tożsamością konstytucyjną Francji”, czyli na przykład z zasadą świeckości.

Dziwne zatem, że władze francuskie potępiają Polskę i orzeczenie jej Trybunału, skoro one same, jako pierwsze nie chciały oddać pełnej suwerenności w ręce Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Chodziło o decyzję Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości, który uznał, że dyrektywa 2003/88/WE w sprawie czasu pracy ma zastosowanie do członków sił zbrojnych. Samo stanowisko Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej było naruszeniem art. 4 ust. 2 Traktatu o Unii Europejskiej, który mówi, że „bezpieczeństwo narodowe pozostaje w wyłącznej gestii każdego państwa członkowskiego”. Jednocześnie jednak orzeczenie TSUE naruszało zasadę tożsamości konstytucyjnej Francji – że francuski żołnierz musi być dostępny w każdym miejscu i czasie. W konsekwencji prawo unijne osłabiłoby francuską zdolność do reagowania na zagrożenia międzynarodowe, podważając jednocześnie koncepcję obrony narodowej (co stało się już wcześniej, kiedy Europejski Trybunał Praw Człowieka narzucił istnienie związków zawodowych w armii).

Nie był to jedyny taki przypadek we Francji. Kolejny przypadek oporu pojawił się w sprawie zatrzymywania i wykorzystywania danych z zakresu łączności elektronicznej w kontekście dochodzeń w sprawach karnych lub wywiadowczych, do celów zwalczania terroryzmu i przestępczości zorganizowanej lub do celów walki ze szpiegostwem. To obszar niezwykle ważny dla bezpieczeństwa europejskiego, ale także krajowego. Wyrok Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej z 8 kwietnia 2014 r. „Prawa cyfrowe”, a później wyroki „Quadrature du Net” i „Privacy International” z 6 października 2020 r. określały dość restrykcyjne warunki dla państw członkowskich, które mogły poważnie sparaliżować ich bezpieczeństwo wewnętrzne. Wtedy rząd francuski zwrócił się do Rady Stanu o dezawuowanie wyroku TSUE.

Tyle z historycznych przykładów. Należałoby jednak dodać jeszcze pewne „przyszłościowe perspektywy”. Kilku polityków, którzy w 2022 r. najprawdopodobniej wystartują we francuskich wyborach, włączyło do swoich programów plan zwiększenia wagi Konstytucji względem prawa europejskiego.

Zatem to, co zrobił polski Trybunał Konstytucyjny, nie jest w Europie żadną nowością.

źródło: Le Figaro

Czy Europę czeka stagflacja? Byłaby to najgorsza z możliwych wiadomości

Efektem światowego oraz europejskiego kryzysu energetycznego z pewnością nie będzie niska inflacja. Widmo „złej inflacji”, a potem nawet stagflacji, krąży nad Europą – pisze „El Economista.es”, powołując się także na najnowszy raport banku BNP Paribas.

Gwałtowny wzrost cen gazu, węgla i ropy na skutek ich niskiej podaży przyczyniają się w Europie do szoku cenowego. Rosnąca inflacja zaczyna już poważnie niepokoić. Tym bardziej że towarzyszy ona spowolnieniu wzrostu gospodarczego.

Europa w okresie wychodzenia z pandemii COVID-19 była regionem szczególnie narażonym na zjawiska inflacyjne. Ale teraz niepokoi nakładanie się na nie słabego wzrostu gospodarczego, co daje w sumie efekt tzw. złej inflacji.

Unia Europejska jest importerem netto gazu, węgla i ropy. Pomimo zielonego kursu, jaki obrała i ostatnio jeszcze zaostrzyła, potrzebuje tych surowców do swojego koszyka energetycznego. Ropa jest niezbędna przede wszystkim w transporcie, zarówno masowym, zaopatrzeniowym, jak i indywidualnym. W krajach UE utrzymują się wyższe ceny tych surowców, podczas gdy inne regiony (eksporterzy energii netto) osiągają wyższe przychody, którymi rekompensują rosnący kryzys.

Nadchodzi drożyzna

Bank of America Merrill Lynch oszacował, że europejskie gospodarstwa domowe będą musiały zapłacić o 500 euro więcej rocznie – właśnie z powodu wyższych cen gazu i energii elektrycznej. Część przychodów z wyższych cen trafi do firm energetycznych (pieniądze zostają wtedy w gospodarce). Kolejna część do rządów, przez nałożone wyższe podatki, jeszcze inna, istotna, do krajów, które są eksporterami gazu lub węgla. W przypadku benzyny i innych paliw rafineryjnych sytuacja jest trudna. Europa – z wyjątkiem nielicznych krajów takich jak Norwegia czy Szkocja, nie produkuje ropy naftowej. Wszyscy dopłacą więc do kryzysu energetycznego oprócz tych nielicznych krajów, które osiągną zyski z produkcji i rafinacji ropy.

Nadchodzi „zła inflacja”

Wzrost cen energii jest zawsze złą wiadomością dla gospodarki. Według francuskiego banku BNP Paribas Europa może paść ofiarą „złej inflacji”, która jest obecnie bardziej odzwierciedleniem szoków po stronie podaży niż czymkolwiek innym. W strefie euro i innych gospodarkach wzrost cen ropy i gazu jest wręcz skokowy.

„Inflacja coraz mocniej odbija się na realnych dochodach pozostających do dyspozycji gospodarstw domowych, a tym samym na wydatkach” – ostrzegają analitycy BNP Paribas. Oddziałuje to niekorzystnie na konsumpcję, spowalniając jeszcze i tak niski wzrost gospodarczy.

„Wzrost inflacji w czasie ożywienia wzrostu gospodarczego to dobra wiadomość, przynajmniej

początkowo” – pisze BNP Paribas. W takim przypadku wyższe ceny odpowiadają silnemu popytowi, pełnemu zatrudnieniu na rynku pracy, rosnącym płacom oraz zdolnościom firm do podnoszenia cen – bez szkody dla sprzedaży i działalności. I taka inflacja jest „dobrą inflacją”, bo wynika z każdego nowego cyklu wzrostu i ożywienia popytu. Inną sytuacją jest ta, gdy inflacja staje się produktem zewnętrznych szoków podażowych (jak to miało miejsce w latach 70. i 80. XX wieku) i nie towarzyszy jej wzrost gospodarczy. Ciągły wzrost cen energii stanowi wyraźne zagrożenie dla wzrostu gospodarczego ze względu na wpływ na malejące, realne dochody konsumentów.

Teraz na horyzoncie pojawiło się ryzyko wystąpienia stagflacji, czyli czegoś niewidzianego od lat 80. XX wieku.

Nie ma chyba nic gorszego

Stagflacja jest jedną z najgorszych kombinacji dla gospodarki. Gdy się pojawia, niski wzrost gospodarczy zbiega się z gwałtownym wzrostem cen, a miejsca pracy powstają bardzo wolno lub wcale. Przedsiębiorstwa muszą radzić sobie z niepowstrzymanym wzrostem kosztów, które w końcu zmuszone są przerzucać na konsumentów. Konsumenci widzą, że ich siła nabywcza maleje, ponieważ bez rzeczywistego wzrostu w gospodarce pensje tracą na sile nabywczej. Nakłada się na to zjawisko niskich oszczędności i w ten sposób zamyka się błędne koło gospodarczego marazmu.

BNP Paribas przyznaje, że z czasem „zła inflacja” może prowadzić właśnie do stagflacji – do rozczarowująco niskiego wzrostu gospodarczego i do zbyt wysokiej inflacji występujących równocześnie. Analizując materiały agencji Bloomberg na ten temat, widać, że obawy o stagflację w Europie rosną już od kilku dobrych lat.

Ciąg dalszy na stronie 14

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

10 grudnia 2021 - Warszawa – Polska **www.nowyswiat24.com.pl** Numer 11/2021

Czy Europę czeka stagflacja? Byłaby to najgorsza z możliwych wiadomości - ciąg dalszy ze strony 13

Ostatnio jednak są one wyjątkowo duże, odzwierciedlając przewidywania, że podwyższona presja na wzrost cen może w końcu zadać cios perspektywom wzrostu.

Dylemat w bankowości centralnej

„Zła inflacja" stwarza także swoisty dylemat dla banków centralnych. Z jednej strony mogą one nic nie robić, utrzymując niskie stopy procentowe, by wesprzeć słabą gospodarkę. Jednak wtedy występuje ryzyko, że inflacja pozostanie wysoka przez dłuższy czas. Innym rozwiązaniem może być podniesienie stóp procentowych w celu złagodzenia inflacji, jednak kosztem dalszego osłabienia gospodarki. Trudno jednoznacznie rozstrzygnąć, jak się w takiej sytuacji zachowywać.

Innym minusem „złej inflacji" jest to, że jej wpływ jest zazwyczaj większy dla gospodarstw domowych najuboższych, ponieważ wydają one większą niż inni część swoich dochodów na paliwo, energię elektryczną oraz ogrzewanie. Co więcej, gospodarstwa te charakteryzują się niską stopą oszczędności, więc trudno jest im zamortyzować podwyżki.

Chociaż nie wszyscy uwzględniają w swoich scenariuszach ryzyko stagflacji, istnieje pewien konsensus co do tego, że relacja między wzrostem a inflacją staje się wtedy zdecydowanie mniej korzystna. Ekonomiści z Oxford Economics zwracają uwagę, że wskaźniki ryzyka sugerują obecnie pogorszenie się sytuacji w omawianym zakresie. Jeszcze kilka miesięcy temu oczekiwano dominacji wzrostu gospodarczego przy niskiej a w każdym razie kontrolowanej inflacji. Obecnie można dostrzec znaczne prawdopodobieństwo podwyższonej inflacji w ciągu najbliższych dwóch lat oraz perspektywę słabszego wzrostu PKB krajów Eurolandu.

Wszystko to może mieć bardzo zły wpływ na konsumpcję. Ekonomiści Danske Bank ostrzegają, że już teraz negocjowane płace w strefie euro wzrosły w drugim kwartale tylko o 1,7 proc., podczas gdy inflacja do końca tego roku wyniesie średnio powyżej 3 procent. Wszystkie „znaki na niebie i na ziemi" wskazują na erozję siły nabywczej portfeli, co znajdzie odzwierciedlenie w wyraźnym spowolnieniu konsumpcji prywatnej w całej strefie euro.

Rodzący się europejski kryzys energetyczny nie tylko wpłynie na dochody realne, ale może także doprowadzić do zakłóceń w produkcji – tak jak to miało miejsce już w Chinach. Zwiększy tym samym nierównowagę podaży i popytu, dodając jeszcze skrzydeł „złej inflacji".

źródło: El Economista

Globalny imp

Efektem światowego oraz europejskiego kryzysu energetycznego z pewnością nie będzie niska inflacja. Widmo „złej inflacji", a potem nawet stagflacji, krąży nad Europą – pisze „El Economista.es", powołując się także na najnowszy raport banku BNP Paribas.

Ilość produkowanego w Malezji oleju palmowego nagle znacząco spadła. W Wietnamie za to zmalał połów krewetek, a do zbierania ryżu zaangażowano tamtejsze wojsko. Plantacje kawy w Brazylii czekają na zebranie plonów. W Wielkiej Brytanii zaczęto obserwować braki w zaopatrzeniu. Wszystkie te problemy mają jedno główne źródło – brak pracowników. Na całym świecie pandemia doprowadziła do zmniejszenia dostępnej siły roboczej – od drobnych rolników po słabo opłacanych kelnerów.

Do tej pory inflacją przejmowały się przede wszystkim banki centralne, ale obecnie zaczyna być ona odczuwana przez obywateli. Wzrosły ceny paliwa, prądu, ale także żywności. Inflacja przeszła już przez cały system gospodarczy i sięgnęła do gospodarstw domowych.

Wcześniej wzrost cen towarów tłumaczono jako skutek chwilowego stanu wywołanego przez ponowne otwarcie światowych gospodarek. Wzrost popytu miał odbić się na podwyższeniu cen niektórych dóbr. Ale z każdym miesiącem widzimy, że inflacja dotyka coraz więcej sektorów i coraz więcej produktów. W tym także jedzenie. Organizacja Narodów Zjednoczonych ds. Wyżywienia i Rolnictwa (FAO) potępiła znaczny wzrost cen wielu podstawowych produktów żywnościowych na międzynarodowych rynkach, w tym cukru, pszenicy, mięsa i olejów roślinnych.

FAO zajmuje się między innymi sporządzaniem indeksu cen podstawowych artykułów żywnościowych. Ich dane od miesięcy są bardzo niepokojące. W samym sierpniu cena cukru wzrosła o 9,6 proc., jednak jeśli spojrzymy na ceny sprzed roku, wzrost sięga już 48 proc. Podobnie ze zbożami – 3,4 proc. wzrostu w zestawieniu z lipcem, ale 31 proc, więcej niż w sierpniu ubiegłego roku. Mięso jest droższe o przeszło 20 proc. niż rok temu. Skąd bierze się tak gwałtowny wzrost cen? FAO podaje rozmaite powody, między innymi susze i powodzie, które dotknęły różne kraje, ale przyznaje, że to także kwestia inflacji. Opublikowany właśnie raport mówi na przykład o wysokich kosztach produkcji i transportu w niektórych krajach eksportowych, a także na problem z niedoborem pracowników w krajach, które wytwarzają podstawowe artykuły żywnościowe.

Niedobory pracowników możemy zobaczyć wzdłuż całego łańcucha dostaw, zaczynając od miejsca wytwarzania, a kończąc na miejscu sprzedaży. W Wietnamie do zbioru ryżu musiano użyć pomocy wojska, rolnicy z Wielkiej Brytanii wylewają mleko, bo nie ma wystarczająco dużo ciężarówek, które mogłyby je odebrać. Zbiory kawy w Brazylii, które zwykle trwają 90 dni, w tym roku musiały zostać rozciągnięte do 120 dni, bo nie było wystarczającej ilości rąk do pracy. W Stanach Zjednoczonych z problemem braku pracowników borykają się właśnie zakłady pakowania mięsa, ale praktycznie cała branża gastronomiczna przechodzi przez kryzys braku kucharzy i kelnerów.

Niestabilność zatrudnienia kładzie się cieniem na całym łańcuchu dostaw

Stoją za tym skutki niedawnej pandemii. Przemysł spożywczy jest dziś stosunkowo słabo zautomatyzowany, nadal potrzebuje dużych ilości pracowników, zwłaszcza pracowników sezonowych. Brak stabilności zatrudnienia sprawił jednak, że wielu pracowników przeszło do innych branż, gdzie częściej mogą liczyć na stałą pracę.

Stąd niedobory zarówno wśród gospodarstw rolnych, jak i u przetwórców żywności oraz w restauracjach. W Malezji, drugim na świecie producencie oleju palmowego, w tym roku jego produkcja spadła o 30 proc. W Wietnamie – jednym z największych eksporterów krewetek – tegoroczne połowy są o 60 lub 70 proc. niższe niż były przed koronawirusem. Upały i paraliż transportowy sprawiły, że południowe Włochy straciły w tym roku 20 proc. upraw pomidorów.

„Nowa gospodarka postpandemiczna stwarza możliwości dla wielu pracowników tam, gdzie wcześniej ich nie było" – powiedział Decker Walker, ekspert branżowy z Boston Consulting Group. I chociaż każdy sektor jest inny, a specyfika danego kraju jeszcze bardziej go różnicuje, to pojawił się też element wspólny: niedostatecznej liczby pracowników na stanowiskach, które cechuje największa niestabilność zatrudnienia.

Puste miejsca pracy po pandemii

Jeśli jacyś pracownicy awansowali chwilę przed pandemią, pozostawione przez nich stanowiska niższego szczebla najprawdopodobniej nie zostały obsadzone. Inni pracownicy – jak na przykład Australijczycy pracujący wcześniej w zakładach mięsnych na odległych obszarach rolnych – po pandemii mogą chętniej wybierać stałą pracę w bardziej ruchliwych miastach. Do Wielkiej Brytanii przyjeżdżało wielu obywateli Unii Europejskiej, by pracować na farmach, w transporcie czy gastronomii, ale obecnie decydują się pozostać w swoich ojczyznach. W Stanach Zjednoczonych widać dużą migrację ludności wiejskiej do miast.

Jon DeVaney, prezes Washington State Tree Fruit Association, przyznaje, że zbieranie owoców to ciężka praca. „Zbierasz owoce, wchodzisz i schodzisz po drabinie, więc tak, alternatywa w postaci wciskania guzików na kasie jest dużo bardziej atrakcyjna". W efekcie pojawiają się jednak problemy z produkcją. „Oferujemy świetne miejsca pracy za dobrą płacę, ale chociaż bardzo staramy się znaleźć ludzi, stanowiska pozostają nieobsadzone" – wyznaje Patrick Criteser z Tillamook County Creamery Association, spółdzielni mleczarskiej z Oregonu. Criteser, będący członkiem zarządu stowarzyszenia, sam teraz jeździ do gospo-

uls inflacyjny

darstw i pomaga w pracy.

Hurtownicy tacy jak Sysco Corp czy United Natural Foods już ogłosili opóźnienia w produkcji niektórych artykułów, od bekonu po wodę kokosową. W niektórych brytyjskich sklepach zaczyna brakować już tak podstawowych produktów, jak chleb czy drób, a w sierpniu w sieci McDonald's zabrakło koktajli mlecznych, bo firmy transportowe nie mogły znaleźć kierowców do rozwożenia mleka.

Sunny Verghese, dyrektor generalny Olam International, wskazuje, że pracownicy coraz częściej chcą lepszej ochrony sanitarnej oraz wyższych płac.

Koszty w końcu poniosą konsumenci

Jednak niedobór pracowników na rynku pracy grozi koniecznością podniesienia płac, która wpływa na kolejny wzrost kosztów firmy. Teoretycznie może to oznaczać albo stratę dla firmy, spowodowaną obniżeniem marży, albo stratą dla konsumenta, spowodowaną wzrostem cen. „Przy inflacji, którą obserwujemy w biznesie, i inflacji, którą obserwujemy na poziomie gospodarstw rolnych, prędzej czy później trafi ona w półki supermarketów" – ostrzega Criteser.

Campbell Soup, jeden z największych amerykańskich producentów żywności pakowanej, oficjalnie ogłosił podwyżkę cen swoich produktów do końca roku, co miało zabezpieczyć jego marżę. Nie są w swoim ruchu osamotnieni, na podobne posunięcia zdecydowało się wiele firm, między innymi General Mills czy Conagra Brands. Choć w raporcie o rocznych wynikach grupa odnotowała znaczący wzrost zysków – o 40 proc. (do 1,54 mld dolarów) – to podkreśliła, że zmaga się z problemem rosnących cen składników i kosztów transportu.

Podwyżki płac i zyski firmy są trudne do pogodzenia w inny sposób niż poprzez podniesienie cen produktów. Amerykańska sieć fast-foodów Chipotle, nie mogąc znaleźć wystarczającej ilości pracowników, najpierw podniosła średnią płacę do 15 dolarów za godzinę, następnie zaś podniosła ceny w menu.

Rozkład niedoboru pracowników jest różny. Choć niedobór kelnerów jest dość powszechny, to występuje od stosunkowo niedawna, natomiast brak rolników sięga już dekad. Z innymi problemami boryka się teraz Wielka Brytania, a z nieco innymi reszta Europy. Problemy niedoboru pracowników praktycznie nie występują w Chinach, w Indiach rąk do pracy jest bardzo dużo, choć inflacja i tam silnie się zaznacza.

„W końcu ceny żywności muszą wzrosnąć, aby lepiej wynagrodzić pracowników i znaleźć rozwiązania" – mówi Cindy van Rijswick, starszy analityk w Rabobanku.

źródło: El Economista

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

10 grudnia 2021 - Warszawa – Polska **www.nowyswiat24.com.pl** Numer 11/2021

„Samozadowolony konformizm sprawia, że Zachód powoli umiera”

Nowa tyrania tłumu – opinia z „The Wall Street Journal”

Nazizm i komunizm – ideologie, które porwały masy w XX wieku, występowały wyraźnie przeciwko rozumowi. Wydawałoby się, że ich doświadczenie czegoś nas nauczyło, a jednak przyglądając się im dziś, możemy dowiedzieć się wiele na temat współczesnych politycznych ekstremów.

Zarówno nazizm, jak i komunizm czerpały z wielu źródeł. Wiele też miały wspólnego – na przykład wyrosły na porażkach z 1848 r. Uwagę na to zwrócił kiedyś amerykański dyplomata Robert Strausz-Hupé. We wspomnianym roku w Europie doszło do wielu demokratycznych rewolucji, w których liberalizm i nacjonalizm „walczyły po tej samej stronie barykady”. Jednak niepowodzenie rewolucji sprawiło, że ich drogi się rozeszły. To zresztą ten sam rok, w którym Fryderyk Engels i Karol Marks opublikowali głośny „Manifest komunistyczny”. Kto wie, może sukces rewolucji powstrzymałby ten rozłam, a przy okazji uchronił świat przed potwornościami I wojny światowej, a w dalszej konsekwencji – także tymi, za którymi stanęli Adolf Hitler i Włodzimierz Lenin.

Jednak za ideologicznymi okropieństwami XX wieku stało coś więcej niż porażki z 1848 r., a mianowicie – technologia. Strausz-Hupé mówił o „wywłaszczonych z rewolucji przemysłowej”, kategorii, do której należały dziesiątki milionów. To właśnie oni zostali zaangażowani w wojnę klasową i rasową, a kierowała nimi nowa siła – media. Dziś, kiedy myślimy o Hitlerze czy Stalinie, zwykle umieszczamy ich na tle osiągnięć im współczesnej industrializacji, która dała zarówno radio i kroniki filmowe, jak i kolej czy czołgi. Zresztą samą propagandę najczęściej umieszczamy właśnie w tych kontekstach.

Od tamtego czasu technologia bardzo się rozwinęła, ale korzenie trapiącego nas dziś kryzysu tkwią mniej więcej w tym samym. Komunizm i nazizm wsparły się bowiem na dwóch wspólnych fundamentach: bezpieczeństwie tłumu oraz tęsknocie za czystością.

Wskazał na nie Elias Canetti w książce „Masa i władza”. Choć publikacja ta ukazała się pierwszy raz w 1960 r. (po niemiecku), pozostaje jedną z najważniejszych książek o kryzysie Zachodu ostatniego stulecia. Nawet koncepcja ostatecznej efemeryczności zachodniej cywilizacji, którą opisał Oswald Spengler w słynnym „Zmierzchu Zachodu”, nie pokazuje mechaniki kryzysu tak wprost.

Canetti wskazywał genezę tłumu w jednostkowej potrzebie dostosowania do innych. Jednostka, niezdolna do samodzielnego dominowania, dąży do dominacji za pośrednictwem tłumu. Chęcią tłumu jest zaś wzrost, rozwój odbywający się poprzez wchłanianie wszelkich hierarchii. Nie dostrzega w tym jednak niczego złego, przeciwnie – tłum postrzega siebie jako zawsze całkowicie czysty, mający najwyższe cnoty.

To oznacza, że tłum zawsze tropi niedostatecznie cnotliwych. Canetti pisał, że choć tyrania tłumu przybiera różne formy, to najwyraźniej widać ją w wydaniu „pytającego i oskarżyciela”. „Kiedy jest on używany jako ingerencja władzy, [oskarżycielski tłum] jest jak nóż wrzynający się w ciało ofiary. Pytający wie, co jest do znalezienia, ale chce tego dotknąć i wydobyć na światło dzienne” – pisze.

To zjawisko opisał zarówno Aldous Huxley w „Nowym wspaniałym świecie”, jak i George Orwell w „Roku 1984”, a jeszcze dokładniej Hannah Arendt w „Korzeniach totalitaryzmu”. Jednak to Canetti wskazał na psychologię tłumu jako na samodzielny przedmiot intelektualny. Bo choć tłumy zbierały się od początków naszej historii, to dopiero nowoczesna technologia – kiedyś w formie radia i prasy, dzisiaj Twittera i Facebooka – stworzyła dużo więcej możliwości zaprowadzania tyranii tłumu. Tyrania ta, która powstaje w zgromadzeniu samotnych ludzi, dąży do zniszczenia jednostki, którą uważa za pozbawioną cnót.

Nasza XXI-wieczna rzeczywistość różni się jednak od tej sprzed stu lat. Masowa komunikacja w XX wieku kontrolowana była przez rządy. To one mogły rozprzestrzeniać ideologię, przekaz dyktowany był odgórnie. Dziś natomiast sytuacja się odwróciła. Internet umożliwił oddolne gromadzenie się jednostek.

Zmienił się jednak tylko styl wprowadzanej tyranii, efekt jest zasadniczo ten sam – przypisywanie sobie monopolu na cnotę i zastraszanie przeciwników. Nie zgadzasz się z nami? Znaczy to, że jesteś w błędzie, ale znaczy także, że jesteś pozbawiony cnót, a zatem szkodliwy moralnie. Nie wystarczy Cię potępić, należy też zniszczyć. Nazizm i komunizm opierały się na utopijnej wizji świata, ich wyznawcy widzieli w nich systemy cnót, i to przekonanie pozwoliło wprowadzać nową tyranię. Choć Amerykanie zdołali pokonać III Rzeszę, a później Związek Radziecki, to zrobili to za pomocą siły militarnej i przemysłowej – pokazując, że intelektualne i kulturowe fundamenty nie wystarczą, by trwała cywilizacja, musi za nią stać także siła i władza. Może się wydawać, że z XX wieku zwycięsko wyszła jednostka – wolna i niezależna, ale to zwycięstwo zdobyte zostało amerykańską twardą siłą, na którą składały się także nauka i sztuka oraz wolne, zróżnicowane i niezależne media. Tymczasem dziś media ustępują tłumowi, same domagają się cnoty, stawiając się w roli tego, którego Canetti nazywał oskarżycielem.

Wydaje się, że młode pokolenie nie ma tej świadomości historycznej, nie wie, do jakiej tradycji się odwołuje, i tym chętniej łączy żądzę czystości z tyranią nowych mediów społecznościowych. To może tworzyć najbardziej przerażające tłumy, z jakimi miano do czynienia. Efektem będzie powszechna autocenzura, a jak wiemy, jest to kamień węgielny każdego totalitaryzmu.

Wynikiem takiej tyranii jest społeczeństwo nijakie, trywialne, pozbawione autentyczności i indywidualizmu. Łatwiej obrać za cel jawne zło, problem pojawia się, gdy walczyć trzeba z samozadowolonym konformizmem. To on sprawia, że Zachód powoli umiera.

Ostrzegał przed tym już w XIX wieku Aleksander Herzen, rosyjski intelektualista, który po nieudanych rewolucjach 1848 r. pisał: „Nowoczesna myśl zachodnia przejdzie do historii i zostanie w nią włączona, będzie miała swój wpływ i swoje miejsce, tak jak nasze ciało przejdzie w skład trawy, owiec, kotletów i ludzi. Nie podoba nam się ten rodzaj nieśmiertelności, ale co z tym zrobić?”.

I to właśnie rozgrywa się na naszych oczach. Kiedy globalizacja otwiera Zachód na wpływy innych cywilizacji, a skrajne polityki tożsamości odrzucają prawa jednostki, liberalizm historyczny próbuje nie dopuścić do zrealizowania wizji Herzena. Opowiadając się za indywidualną sprawczością, liberalizm historyczny występuje przeciwko ideologiom i temu, czym groził nam Herzen. Nie można przewidzieć kierunku historii, ale można o niego walczyć.

xródło: www.wsj.com

Lewacka kinematografia uderza w zachodnią cywilizację

Antykatolickie kino, proaborcyjny prezydent i atakowani katolicy: przewodniczący Ligi Katolickiej występuje z litanią skarg – informuje „Breitbart

Bill Donohue, przewodniczący amerykańskiego stowarzyszenia Liga Katolicka, potępił ostatnio film „Bendetta", nie tylko uznając go za antykatolicki, ale także oskarżając o poważanie zachodniej cywilizacji wespół z Antifą i ruchem Black Lives Matter (BLM). Przy okazji skrytykował też prezydenta Stanów Zjednoczonych Joe Bidena i spikerkę Izby Reprezentantów Nancy Pelosi za proaborcyjne przekonania, a także wyraził swoje zaniepokojenie milczeniem na temat niedawnych ataków na kościoły.

Donohue zrobił to wszystko na antenie cotygodniowego programu Steve'a Malzberga „Eat the Press". Zaczął od skrytykowania filmu „Bendetta", najnowszego francuskojęzycznego dzieła holenderskiego reżysera Paula Verhoevena. Na ekranie widzimy lesbijskie zakonnice, które uprawiają seks między innymi z użyciem drewnianej figury Matki Boskiej. Akcja tego dramatu historycznego rozgrywa się we Włoszech w XVII wieku.

„Jest to atak na cywilizację zachodnią, ponieważ, jak wszyscy wiedzą, to dziedzictwo judeochrześcijańskie jest podstawą cywilizacji zachodniej" – powiedział Donohue, po czym porównał cele stojące za produkcją takich filmów do tych, które wyznaczają sobie grupy takie jak Antifa, BLM oraz inne, które – zdaniem Donohue – nienawidzą Ameryki.

„Jeśli twoim celem jest zburzenie tych fundamentów, a takie jest przesłanie Antify i Black Lives Matter, to ten cel nie służy ludziom. Wielu z nich jest w szkolnictwie wyższym, są w społeczności artystycznej, niektórzy są członkami mediów i przemysłu rozrywkowego" – tropił Donohue.

Jaki jest cel, jaka motywacja takich ludzi i ugrupowań? „Oni nie lubią zachodniej cywilizacji. Nienawidzą Ameryki i nienawidzą Izraela, i to wszystko ma dla mnie sens, ponieważ są to ludzie, którzy naprawdę chcą narzucić totalitarny reżim w naszym społeczeństwie" – komentował przewodniczący Ligi Katolickiej.

Zachodnia cywilizacja jest zdaniem Donohue'a atakowana na różne sposoby. Próbował przybliżyć niektóre z nich w programie: „Jednym ze sposobów na zniszczenie zachodniej cywilizacji jest atak na rodzinę. Innym sposobem na to jest atak na religię. To znaczy na judaizm, to znaczy na katolicyzm, to znaczy na protestantyzm. Możesz spalić kościoły, to jeden sposób, aby to zrobić; innym sposobem jest po prostu poniżanie, lekceważenie i pogarda dla każdego, kto jest katolikiem".

Taki atak na Kościół prowadzi do szerszych reperkusji. „To my jesteśmy z papieżem na szczycie, jesteśmy hierarchiczni. Więc jeśli możesz zaatakować i zniszczyć Kościół katolicki, wiele rzeczy się rozpadnie". Reżysera filmu oskarżył więc o antykatolicki program. „Verhoeven, ten facet, ten holenderski filmowiec, ma historię niszczenia katolicyzmu, to jest to, co robi. On uderza w katolicyzm za pomocą tej paskudnej sceny z rzekomymi zakonnicami z XVII wieku, a następnie za pomocą plugastwa – używając Dziewicy Maryi jako dildo – myślę, że aby zrobić coś takiego trzeba być naprawdę bardzo chorym. Myślę, że w lokalnym przytułku jest prawdopodobnie więcej zdrowych ludzi niż tych, którzy pracowali na jego planie. Oto, z czym się zmagamy" – ocenił Donohue.

Prowadzący przypomniał, że film Verhoevena oparty jest na prawdziwych, historycznych wydarzeniach. „Jestem pewien, że w każdej instytucji można znaleźć ludzi pokrzywdzonych przez los. Jaki jest cel robienia tego?" – odpowiedział pytaniem na pytanie zaproszony na antenę gość.

Donohue ubolewa z powodu uznania, jakim omawiany film cieszy się w mediach. „Spójrzcie na reakcję, z wyjątkiem »Variety«, które zajęło się tym bardzo dobrze, media im kibicowały. Kiedy pokazali to we Francji na pokazie przedpremierowym, publiczność przez pięć minut klaskała i tym podobne" – nie mógł się pogodzić przewodniczący.

Donohue próbował też wyjaśnić, dlaczego to katolicy są częściej atakowani niż inne grupy religijne. „Powiedziałem to już wcześniej: oni bardziej atakują katolików niż Żydów, ponieważ Żydzi są szanowani. Idą po katolików bardziej niż po muzułmanów, ponieważ muzułmanów się obawiają. Katolicy nie są ani szanowani, ani się ich nie obawiają" – wywodził.

Podpalenia kościołów

Kolejnym tematem podjętym przez przewodniczącego były niedawne akty wandalizmu i podpaleń kościołów w Kanadzie. W jednym dniu spalono tam aż dziesięć świątyń. Donohue uznał za naganne powszechne milczenie w tej sprawie, a nawet próby usprawiedliwiania atakujących. „Mamy tu dwie historie. Tak jak w przypadku filmu »Benedetta«", znajdował analogię. „Mamy to, co faktycznie się dzieje, i co jest nikczemne, a także mamy reakcję elit na to – to jest naprawdę uderzające. Wydaje się, że nikt się temu nie sprzeciwia".

Ataki na kościoły katolickie w Kanadzie są reakcją na odkrycie ponad 1100 nieoznaczonych grobów w miejscach, gdzie kiedyś mieściły się prowadzące przez Kościół katolicki szkoły rezydencjalne, do których siłą wysyłano dzieci rdzennych mieszkańców obecnej Kolumbii Brytyjskiej i Saskatchewan.

Wziął w obronę kanadyjskie instytucje religijne dla ludności rdzennej: „Mówią, że warunki nie były idealne. Powiedzmy, że nie były. Chciałbym jednak zadać jedno pytanie, którego nikt nie chce zadać, więc pozwólcie, że będę to ja: dlaczego nie było żadnych szkół dla rdzennej ludności prowadzonych przez rdzenną ludność? To pytanie jest ciekawe samo w sobie".

Przewodniczący Ligi Katolickiej chciał umieścić kanadyjskie incydenty w szerszym kontekście. „Ale powiedzmy, że zaszło tam kilka przerażających historii. Czego oni chcą? Jaki jest ich cel w tym przypadku? Chcecie cofnąć się do XVIII wieku, XVII wieku, XIX wieku i zamierzacie mi powiedzieć, że ja dzisiaj, jako katolik, mam się czuć winny z tego powodu? Nie czuję się winny z żadnego powodu, chyba że sam zrobię coś złego".

Donohue zauważył, że po raz kolejny Kościół katolicki pada ofiarą ze względu na swoją łagodność: „oni nie palą swojego ratusza, nie idą za premierem. Oni idą za Kościołem katolickim, ponieważ jest to znowu łatwy cel i wiedzą, że nie będziemy działać w sposób gwałtowny przeciwko nim" – powiedział. Obawia się rozprzestrzeniania podobnych ataków poza granice Kanady. „To nie dzieje się tylko w Kanadzie, to dzieje się w Europie i to dzieje się tutaj, gdzie mieszkam, w Nowym Jorku. W ostatni weekend nagrano kobietę, która o 3:30 nad ranem rozbijała młotkami posągi Matki Boskiej, upewniając się, że zostały one roztrzaskane na kawałki" – dodał.

O aborcji wśród rządowych elit

Donohue zakwestionował także podejście do aborcji, jakie prezentuje prezydent Joe Biden oraz przewodnicząca Izby Reprezentantów Nancy Pelosi. Zarówno Biden, jak i Pelosi deklarują się jako katolicy. „Joe Biden w tej sprawie stał się bardziej, a nie mniej radykalny" – przekonywał przewodniczący. „Kiedy zaczynał, sprawa Roe kontra Wade ustanowiła proceder w 1973 r., legalizując aborcję, w następnym roku Biden wyszedł i powiedział, że posunęli się za daleko. Teraz poszedł pełną parą. Teraz jest za aborcją częściową, pozwalającą na zabicie dziecka, gdy jest ono w osiemdziesięciu procentach urodzone. Teraz jest za tym, byśmy za to płacili".

Skąd taka przemiana? Donohue uważa, że to pod wpływem Demokratów. „To wszystko jest nowe. On bierze przykład z radykałów w Partii Demokratycznej".

Także Pelosi została oskarżona o hipokryzję. „Nancy Pelosi otrzymała najwyższą nagrodę, Nagrodę Margaret Sanger od proaborcyjnego Planned Parenthood. Nigdy nie było aborcji, której nie mogłaby usprawiedliwić. To są dwie osoby, które twierdzą, że są pobożnymi katolikami. Pozwólcie, że coś wam powiem: chętniej w moje szeregi przyjmę Żydów, którzy są pro-life, takich jak ty [prowadzący program Steve Malzberg], niż tych, którzy rzekomo mają katolickie poglądy" – zażartował.

Tydzień wcześniej Donohue ostrzegał przed sytuacją w szkolnictwie. Jego zdaniem nauczyciele „indoktrynują uczniów krytyczną teorią rasy", co jego zdaniem ma skutkować „podtrzymywaniem rasizmu w szkołach". W tym samym tygodniu utyskiwał na upadek „Sports Illustrated", który rzekomo staje się antychrześcijański. Chodziło o umieszczenie na okładce Leyny Bloom, „tak zwanej transseksualnej modelki, która tak naprawdę jest biologicznym mężczyzną". Zdaniem Donohue'a było to celowo polityczne działanie. Dopytywał: „Ilu mężczyzn naprawdę chce zobaczyć na okładce mężczyznę ubranego w kobiecy strój kąpielowy?"

źródło: www.breibart.com